

KRONIKA LITERACKA.

Dziennik Józefa Kopcia brygadiera wojsk polskich, z rozmaitych not dorywczych sporządzony. Z sześcioma tablicami litografowanemi i mapą Kamczatki. Berlin. 1863. Nakładem księgarni akademickiej E. Grossa. (W 8ce. Str. 263).

Imię autora tego dziennika dobrze jest znane z kampanii 1794 r. Śmiało jego przedarcie się z brygadą jazdy, historia zapisana nie-startem zgłoskami.

Znaliśmy go osobiście i zbliżka po powrocie z Kamczatki. Postać drobna i nikła, ciało wątłe, było siedliskiem wielkiej duszy, pełnej bohaterstwa i poświęcenia.

Za przybyciem z Kamczatki pokazywał w rękopiśmie obszerny jój opis i własnych przygód wraz z rysunkami, które sam wykonał i mapą tych krain, które przebywał.

Ś. p. Edward hr. Raczyński krótki i mniej dokładny dał z rękopismów wypis i wydał w małej książeczce w 16ce, która posłużyła Mickiewiczowi do przytoczenia ustępów obszernych w prelekcyach z tego wydania (1).

Przytoczymy tu z nich, jak wielki poeta charakteryzuje pracę naszego wojownika.

„Postrzegano już podobieństwo między Kopciem a Silvio Pellico; góruje w nim także wiara religijna i rezygnacya, ale z tą różnicą, że nie traci on przez to własności: poddaje się dopuszczeniu, nie zrzekając się ani usiłowań, ani nadziei. Widać

(1) Dziennik podróży Józefa Kopcia przez całą wzdłuż Azję, lądem do portu Ochocka, oceanem przez wyspy Kurylskie do niższej Kamczatki, a zamtąd napowrót do tegoż portu na psach i jeleniach. Wrocław 1837 r.

w nim wszakże nowy charakter Polaka skruszonego nieszczęściem. Niemcewicz w swoich pamiętnikach zachowuje ciągle nienawiść i gniew dawnych Polaków, należy jeszcze do pokolenia starego; Kopeć przeciwnie, uważa się za dotkniętego przez Opatrzność, pisze, iż codzień rano modlił się do Boga o swoje uwolnienie i nie przestawał spodziewać się lepszej przyszłości, jeżeli nie dla siebie, to przynajmniej dla ojczyzny. Ta wytrwałość pokorna i ufna już jest charakterem nowej literatury polskiej, z niej wynika siła ożywiająca nowych poetów narodowych Malczeskiego, Brodzińskiego i innych, którzy zdają się być oddzieleni od Niemcewicza całym wiekiem". (Lekcja XXIII).

Myśl ta Mickiewicza godna uwagi i rozpatrzenia głębszego, a kto znał bliżej społeczność złożoną ze szczątków postaci z czasów Rzeczypospolitej, a następnie z czasów pruskich i Księstwa Warszawskiego, przyzna jej wielką prawdę.

Jeżeli typowe postacie starych Polonusów dalekie od cywilizacji francuskiej, zachowały całą pobożność czystą ojców swoich, to grono literatów i mężów otaczających tron Stanisława Augusta i mających wpływ przeważny na sprawy narodu, nie miało tej wiary. Wykształcenie francuskie i filozofia francuska wypieniała ją z serc młodego pokolenia. Było przyjętą zasadą, że można być dobrym Polakiem nie chodząc po polsku, zaniedbując ojczystą mowę, straciwszy wiarę i pobożność dawną: czas pokazał, jak grubo błędzili zwolennicy tej zasady. Z pięknych rysów narodowego charakteru zostały wybitne tylko przymioty poświęcenia i bohaterstwa na polu bitwy. Potrzeba było długich lat przejść ciężkich, zanim odzyskaliśmy wiarę i poświęcenie nie tylko w dy-mie prochowym, zanim pozbyliśmy nienawiści a przyszli do po-jęcia i wykonywania miłości Chrystusowej.

Kopeć, ten zwrot pierwszy uwydatnia w swoim *Dzienniku*; poeci późniejsi, szczególnież też Brodziński podnieśli na stano-wisko dogmatu narodowego.

Nasz wojownik trapiiony chorobą bezsenności dał się na-mówić, że wezwał pomocy Ewangelisty.

„Zbliża się do ogniska (pisze Kopeć) i kazawszy mi usiąść, zaleca pić najprzód herbatę. Gdy to czynię, przynoszą Kamczadale ze środka jurt znaczną liczbę soboli, gronostajów i wypor-ków jelenich. Orzeźwiony nieco, zapytuję, co to znaczy? Ewan-gelista czyniąc zadość mej ciekawości, powiada: „nim dam lekar-stwo, muszę ci wprzód powiedzieć rzecz wielkiej wagi. Mieszka-łeś przez ciąg dwóch lat w niższej Kamczatce, a nieś nie wiedział

o skarbach téj ziemi; oto (rozwijając korę brzozową, w której było kilka grzybów zawiniętych) są grzyby, mogą powiedzieć cudowne; rosną one na jednej tylko wyniosłej górze, blisko wulkanu i są najdroższym płodem natury. Uważ panie (rzecze dalej Ewangelista), że przyniesione futra od tutejszych mieszkańców, mam w podarunku za te grzyby: oddaliby oni nawet cały swój majątek, gdybym ich miał wiele i gdybym tylko chciał z nich wiele korzystać. Te grzyby mają szczególną własność i jakby nadprzyrodzoną: kto bowiem ich użyje, nietylko mu pomogą, ale i przyszłość swoją widzi: a że jesteś słaby, ażebyś zjadł jednego tego grzyba, da ci on sen, którego nie masz.

„Słyszac tyle osobliwości o zasłudze pomienionego grzyba, długo wahałem się nad tém, czyli go mam użyć; lecz chęć polepszenia zdrowia, a szczególnie nabycia snu przemogła we mnie obawę: zjadłem więc moje lekarstwo w połowie i natychmiast się położyłem, bo mnie sen mocny ogarniał. Marzenia senne następowały jedne po drugich, znalazłem się tak umagnetyzowany wpośród najrozkoszniejszych ogrodów, gdzie przyjemność i piękność same zdawały się panować. Kwiaty rozmaitej barwy, kształtu i zapachu, nawijały się moim oczom, gdzie grono najpiękniejszych kobiet, w białe przyodzianych suknie, przechadzając się, zdawały się zajmować gościnnością tego ziemskiego raju, jakby rade z mego przybycia, ofiarowały mi rozmaite owoce, jagody i kwiaty. Trwała ta rozkosz przez cały mój sen, który był dłuższy o parę godzin nad mój zwyczajny spoczynek.

„Obudziwszy się z tak słodkiego uśpienia, postrzegłem, iż ta rozkosz była złudzeniem: żałowałem jednak niezmiernie zniknięcia onég, jakby istotnego szczęścia. Wrażenie to uprzyjemniło mi kilka godzin, aż do schyłku dnia. Odebrawszy tak mamiącą posługę od cudownego grzyba, ożywiony nawet snem, któremu tak długo nie znał, począłem ufać jego nadprzyrodzonej własności (jak mię nauczał mój Ewangelista) i za zbliżeniem się nocy, prosiłem go o drugą porcję. Rad on był z méj odwagi i natychmiast niosąc mi ofiarę swég dobroci przyjacielskiej, dał mi całego podobnego grzyba. Zjadłszy tę mocniejszą dozę, w kilka minut zasnąłem twardo. W kilka godzin nowe widzenie na drugi świat mnie przeniosło, zdało mi się, iż ztamtąd kazano mi powrócić na ziemię, aby mnie ksiądz wypowiadał. Wrażenie to acz we śnie tak mocne było, że się obudziłem i prosiłem o przywołanie mego Ewangelisty. Był to właśnie czas północy, skwapliwy do posług duchownych, ksiądz natychmiast porwał stulę i wypowiadał mnie z ra-

dością, której przedemną nie tał. Po spowiedzi w godzinę zasnąłem na nowo i aż do dwudziestu czterech godzin nie obudziłem się. W tak długim uśpieniu jakie miałem widzenia, trudno jest i prawie niepodobno opisać: *różne mnie nawet powody od tego wstrzymują*. W tych widzeniach com spostrzegał i przez com przechodził, są rzeczy którem czułem, widział, lub doświadczał niegdyś, i te, których nigdy obrazu nawet w myśli sobie nie czyniłem: mogę jednak nadmienić, że od powzięcia pierwszych wiadomości życia, to wszystko com od pięciu lub sześciu lat wieku mojego widział przed sobą: wszystkie przedmioty, osoby, które wdalszym ciągu znałem, z któremi jakie miał stosunki, wszystkie zabawy, zatrudnienia, czynności z kolei następujące, dzień po dniu, rok po roku, słowem obraz całej przeszłości, stawał się obecny oczom moim. *Co się zaś tyczy przyszłości, snuły się rozmaite obrazy, które ponieważ skutkiem są marzenia, nie zajmą tu miejsca osobnego*".

Ustęp ten ostatni pierwiastkowo Kopeć napisał inaczej i w pierwszym wydaniu brzmi następująco:

„Nie śmiem o moich w tym czasie okropnych widzeniach namieniać, przez com przechodził i com widział, co mnie tém więcej czyniło niespokojnym, że później niektóre z tych sennych marzeń sprawdziły się na jawie, bo widziałem przyszłość swoją”.

Mickiewicz ten tekst przywołując dodaje:

„Kopeć, za powrotem do kraju opowiadał często te swoje widzenia i co w nich objawiło się jemu względem przyszłych losów Polski; ale otoczony generacją nie wierzącą, gdy całą tę historję obracano w żarty, nie śmiał nawet szczegółów ję napisać w swoim dzienniku”.

Że tak było, możemy sumiennie poświadczyć, bo zaraz w pierwszych dniach powrotu i pobytu w Warszawie, wśród grona odwiedzających go przyjaciół i znajomych, złamany trudami podróży opowiadał przedewszystkiem te swoje widzenia; ale gdy doktorzy zamiast słuchania jego opowieści brali go za puls czy niema gorączki, a drudzy kiwając głowami z niedowierzaniem, mówili mu marzenia! marzenia! Kopeć w pierwszej redakcyi swego dziennika wspominał o swych widzeniach przyszłości wyraźnie, wdrużając nazwawszy je także *marzeniem*, nic o tém, co sprawdził później, nie wspomina.

Ale wracamy do samego dziennika; autor podzielił go na IV księgi: każda ma kilka rozdziałów. Pierwsza zawiera szczegóły od urodzenia, do wejścia w służbę wojskową; następnie opis kam-

panii 1792 r. i 1794 aż do bitwy pod Maciejowicami, w której wraz z Kościuszką wzięty został do niewoli.

Trzy księgi następne obejmują podróż Kopcia do Kamczatki, pobyt jego w tym kraju, opis jej i podróż z powrotem do kraju.

Nie będziemy tu wdawali się w szczegóły dziennika, który nadzwyczaj jest zajmującym i czyta się jak ciekawa powieść; musimy tu tylko przytoczyć podanie, które Kopeć napisał o *Beniowskim*, zastyszone po przybyciu do portu *Bolszorucka*, zamieszkałego przez Syberanów i kilka rodzin wysłanych na zsyłkę.

Głośnóm jest u nas imię Beniowskiego: ojcowie nasi zachowali je wprzysłówiu: „*Z blizka, z Kamczatki wrócił Beniowski*”, na oznaczenie dalekiego kraju, lub wielkiej odległości. Upowszechniło więc jego jeszcze inne dzieło wydane w Warszawie już w drugiej edycji 1806 r., p.n. *Historja podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego Maurycygo Augusta hr. Beniowskiego szlachcica polskiego i węgierskiego*, w czterech tomach, które było jedną z najwięcej wówczas poszukiwanych i czytanych książek.

W ścianie kościołka Czerniakowskiego pod Warszawą, tkwi dotąd tablica z napisem:

„*Tu leży Walenty Antoni Straszewski rewizor policyi, były kapitan w wojsku polskiem, współtowarzysz niewoli znanego Beniowskiego w Kamczatce w 1771 roku. Żył lat 72, umarł d. 2 maja 1822 r.*”.

Napis ten wskazuje, za jak wielki zaszczyt uważano temu, że był współtowarzyszem niewoli Beniowskiego.

Oto ustęp o tym wojowniku w dzienniku Kopcia:

„Skoro się tylko mieszkańcy dowiedzieli, że Polak, zaczęli mi opowiadać całą historję naszego Beniowskiego, którego w tém miejscu nazywają Augustem Polakiem. Każdy tam mieszkaniec napamięć umie szczegóły tyczące się rzezonego Augusta: sposób jego życia, przebywania i oddalenia się, były to przedmioty rozmowy dziennej z mieszkańcami, którzy będąc naoczniemi świadkami wszystkiego, co się w owę porę działo, wspierali się świadectwem dwóch Kamczadałów przy mnie na straży będących, których Beniowski dla niedostatku majtków z wielu innemi zabrawszy z sobą, miał przy swym boku w czasie swj podróży i wczasie pobytu w Paryżu, a którzy później powrócili do swj ojczyzny.

„Według tego opowiadania Beniowski, albo jak go tam nazywają August Polak, dostawszy się za barskiej konfederacyi w niewolę, gdy dwa razy z Tobolska uciekał i przesłany był do

Kamczatki, z portu Ochocka przebywając odnóg oceanu, wysadzony potem został do portu Bolszorucka, gdzie dla niewczesności żeglugi zimował. Okręt, na którym płynął z portu Ochocka nie był rządowy, lecz należący do kompanii irkuckiej, która ma swoją flotyllę z kilku okrętów złożoną. Na budowę tej flotylli wszelkie potrzebne materyały niemogące się znaleźć w Ochocku, najprzód z Irkucka rzeką Leną do Jakucka, ztąd lądem na koniach do portu Ochocka dowożą, razem z przedmiotami handlu, dla rozmaitych dzikich ludów na wyspach zamieszkałych.

„Uzbrojenie tego okrętu było zwyczajne w tém miejscu, kupcy bowiem irkucy u komendanta w Ochocku i innych miejscach kupują ludzi posłanych na zsyłkę, formują z nich strzelców, a dawszy im potrzebne zapasy żywności, obiecują im wynagrodzenie w czwartej części łupu na mogących zdobyć się wyspach, a najwięcej w zdobyczy futer.

„Powiadali mi dalej, iż Beniowski mając czas poznać tych ludzi, ile że dobrze umiał język rossyjski, wyrozumiawszy każdego z osobna, zaczął im wyobrażać niebezpieczeństwa, na jakie się puszczają. Udzielono sobie wzajem takich uwag, nie mówiąc nie majtkom ochockim, którzy w tym porcie mieli swe domy i rodziny. Mając już wszystko po sobie, oświadczył im, iż potrafi ich uwolnić z tego nieszczęśliwego stanu, jeżeli mu tylko sekret poprzysięgną i zupełnie zaufają. Stało się wszystko ze strony strzelców a tymczasem okręt zawinął do portu Bolszorucka.

„Beniowski z czteremaiinnemi stawiony był przed komendantem, który był w randze majora, nazywał się *Nitow*: oświadczył im, iż to miejsce jest punktem ich przeznaczenia i siedliska: gaża dzienna była jeden piątek, na osobę na wszystkie potrzeby żywności i odzienia, a reszty dorabiać się pracą rąk własnych dozwolono.

„Takowy stan rzeczy nie mógł obiecywać pomyślnego skutku w zamiarze przedsięwziętym przez Beniowskiego, trzeba było samemu lepszój szukać wygody i przygotować zapasy na przyszłość; a że już poznał nieco mieszkańców, oświadczył więc komendantowi, że chce założyć szkółkę i uczyć czytać i pisać po rusku. Zezwolił na to komendant, a synowie popa, dzieci oficyalistów, majtków i mieszkańców, ucząc się pod dozorem Beniowskiego, polepszyli stan jego bytu, tak co do żywności, jako téż i samój zapłaty.

„Zajmując się tym obowiązkiem nauczycielskim, Beniowski nie zapomniał o swym projekcie, mając zawsze pewne sposoby

widywania się z poprzysięgłymi sobie strzelcami, umacniał w nich ducha, odkładając rozwinięcie rzeczy do wiosny, jako czasu osobnego i właściwego żegludze.

„Dwa miesiące tylko trzeba było czekać, gdy tymczasem sekret zostaje wydany. Ostrzeżony Beniowski widząc, że najmniejsza zwłoka może go zgubić, spuszczając się więc na los, spieszy skutecznić swój zamiar, lecz już trzeba było uprzedzić komendanta, aby sam nie był aresztowanym. Wziąwszy więc z sobą przyjaciela swego Chruszczowa, który razem z nim był zestany, wpadają wśród nocy do komendanta Nitowa, aby go aresztować.

„Beniowski znalazłszy go na wznak śpiącego, porywa za rękę, radząc, aby się poddał w areszt. Obudzony Nitow, chwytając Beniowskiego za chustkę na szyi, i gdyby się ta szczęściem nie rozerwała, pewnieby go udusił. Obroną tą rozgniewany Chruszczow, przebija komendanta; poczem Beniowski został panem miejsca, ogłaszając się komendantem; otoczony strażą strzelców swoich, wszystkim rozkazuje. Na odgłos takowego zdarzenia, kupcy z kantory irkuckiej uciekają, majtkowie rozpierzchają się mający żony i domy, reszta mieszkańców przyjmuje rozkazy nowego rządzcy. Beniowski, zdobywszy na kupiectwie rozdał dla zagrzania mężstwa swych strzelców: oprócz bowiem wielu przedmiotów użytecznych, w składzie okrętowym będących, spirytus i tytoń największą osobliwością i wielkimi dary zostały w tym czasie. A że niedostatek majtków groził niebezpieczeństwem Beniowskiemu, myślącemu zawsze o swój żegludze, rzucił się więc do fortelu na ich zwabienie, który mu się udał nalezycie.

„Kazał on do cerkwi zebrać żony i dzieci kryjących się majtków, i kazawszy wkoło stosy drewna rozłożyć, udawał, jakoby ich chciał wszystkich popalić na ukaranie nieposłuszeństwa mężów. Widok tak okropny, miłość ojcowska i małżeńska, zwołały rozsypanych majtków pod rozkazy nowego komendanta.

„Powiadano mi, iż po tych wszystkich czynnościach Beniowski był pewien reszty zimy, bo żaden okręt o téj porze przyjść nie mógł; oczekując wiosny do wyjścia z portu, był wszakże w obawie, aby niektóre ludy będące pod władzą komendantów rossyjskich, a nad brzegami oceanu mieszkające, połączwszy się z sobą, nieatakowały go w Bolszorucku usadowionego. Tak więc, lubo jeszcze morze nie było wolne od lodów, przeniósł się z całą swą siłą zbrojną na okręt, i w nim jakby

w jakiej twierdzy czekał odpowiedniego czasu ku rozwinięciu żagli.

„Nie zawiódł się Beniowski w swój rachubie: mniejsi bowiem rozmaitych kolonii nadbrzeżnych komendanci, zebrawszy do 1000 zbrojnego ludu, w małej części strzelbą ognistą, a więcej łukami, atakowali Beniowskiego na okręcie; lecz kilka z dział wystrzałów bez kul nawet, rozproszyło ten motłoch trwożliwy. Po téj rozprawie Beniowski, spokojnie czekał na sposobną porę opuszczenia Bolszorucka.

„Przez ten czas zdobytej spokojności, zajmował się powiększeniem liczby majtków, a że niektórzy ukrywający się jeszcze po lasach powrócić nie chcieli, wybrał więc kilkunastu Kamczadaków, cokolwiek oswojonych z wodą, wziął także z sobą jednego ucznia, syna popa, który cały wojaż z nim odbywszy, był w Paryżu.

„Kiedy nareszcie wiosna oczyściła zupełnie przestrzeń oceanu, Beniowski rozwinął żagle i puścił się w podróż, polecając się losowi.

„Powiadali mi Kamczadale, że w czasie téj okropnej i długiej żeglugi, wiele napotykali wysp i nieznanomych ludów; że tak blisko pilnując się strony południowej podeszli pod ekwator, iż ledwo znieść zdołali gorącość słońca; że Beniowski różne czynił obserwacje i zapisywał wszystkie szczegóły; jak potem po niezliczonych trudach i niebezpieczeństwach przybył do Europy, do Francyi, a nakoniec do Paryża. Dalej rozpowiadali, że Beniowski zostawiwszy ich w Paryżu, sam wypłynął z eskadrą na morze, wspierany od rządu w celu odkrycia tych części świata i wysp, które przebywał, lub do których dotarł. Że potem Beniowski w czasie wylądowania na wyspę Madagaskar zabitym został, doświadczywszy wprzód wiele niebezpieczeństw i przypadków.

„Zadziwiony temi wiadomościami z ust rodowitych Kamczadaków wychodzącymi, a szczególnie, gdy mi wiele rozprawiając o Paryżu, w bardzo dziwny sposób oświadczyli, iż ani pojąć, ani wyobrazić sobie są zdolni, co się tam dzieje; zapytałem się, jakżeście przecie wrócili? Odpowiedzieli mi:

— Mówiliśmy wam, że Beniowski syna popa i nas dwóch, jako niezdatnych do jego morskiej podróży zostawił w Paryżu. Długośmy się błakali w tém nieszczęśliwém mieście pod przewodnictwem syna popowego. Po długim czasie odkryliśmy trafem, że w Paryżu jest pełnomocny poseł rosyjski; udawszy się więc

do niego, wzięci pod protekcją, na okrętach angielskich odesłani byliśmy do Archangielska: ztąd stawieni byliśmy do Petersburga, gdzie z naszego opowiadania *żurnal* Beniowskiego ułożono. Potem Katarzyna II dawszy nam wolność, kazała dać mieszkania z pensją, na co my się nie zgodziwszy, prosiliśmy tylko o sposób powrotu do naszej ojczyzny, co się też i stało.

Takie to szczegóły dotyczące się historii Beniowskiego, których nabyłem z opowiadania Kamczadałów dodanych mi do straży, którzy się mienili być towarzyszami trudów i niebezpieczeństw tego mężnego Polaka”.

Kopeć po powrocie swoim złamany cierpieniami i trudami, już nie był zdolny do służby wojskowej. Urodził się w powiecie pińskim; ojciec jego, pomiernej fortuny ziemskiej w tymże powiecie właściciel, nieodstępny króla Leszczyńskiego zwolennik, był jeńcem w twierdzy Gdańsku. Lubo żył długo, bo zgasł dopiero w 93 roku życia, szesnastoletniego syna Józefa a naszego autora, oddał do kawalerii narodowej, pod dowództwo i opiekę Jerzego Kołłątaja, do tak zwaną brygadę petyhorskiej. Pierwsze więc tylko początki nauk mógł odebrać; resztę wykształcenia pracą własną dopełnił i doświadczeniem pomiędzy ludźmi.

Kołłątaj towarzysz prac i dzieł rycerskich Fryderyka Wielkiego, podczas siedmioletniej wojny już pułkownik, sprowadzony staraniem króla Stanisława Augusta w celu podniesienia z upadku, w jakim zostawała wówczas w Polsce sztuka wojskowa, był rękojmnią dla rodziców, którzy ochotnie synów swoich oddawali, jako prostych żołnierzy pod jego chorągiew.

Trudnym był do otrzymania dla Kopcia stopień oficera: bo „w ową epokę (jak sam pisze) rangi były kupne, a wziętość domów, bogactwa i zabiegi dworne, zabierając plac prawdziwej zasłudze, a częstokroć zdatności, martwemi trudy i usiłowania, ludzi pomiernego mienia czyniły. Dwadzieścia lat całych zawód mój wojskowy zajmują. Po długiej ledwo pracy, po szczeblach zwyczajnych idąc, stopnia brygaderskiego podczas wojny dosłużyć się mogłem”. Pierwsze pole doświadczenia w stopniu namiestnika i działań wojennych, a raczej obozowego czuwania miał w r. 1781, kiedy część armii polskiej rozciągnęła się nad kordonem, graniczących rzek Dniepru i Bałty, strzegąc granic rzezyzopolitej od wkroczenia i napadu wojsk tureckich.

W stopniu podporucznika, przeznaczony na adjutanta generała artylerji szczęsnego Potockiego, który dowodził korpusem obserwacyjnym nad Dniestrem, do którego wcielił oddział

wyboru kilkutyśięczny własnych kozaków. Kopeć daje mu świadectwo jako blizki i naoczny świadek, że wówczas był bez zarzutu, pełen poświęcenia i miłości dla kraju.

W r. 1791 przy pomnożeniu siły zbrojnej otrzymał stopień porucznika i dowództwo szwadronu litewskiej buławy i zostawał na nim aż do zamknięcia kampanii 1792 r. W r. 1794 skończył swój zawód jako brygadyer na polach maciejowickich.

Cała część pierwsza Dziennika Kopcia, jest raczej pamiętnikiem o dwóch kampaniach 1792 i 1794 r., dla badacza tego okresu, nieobojętnym jest materyałem. Następne właściwie są dopiero dziennikiem osobistym. Wartość dzieła stanowi treść jego równie ważna jak zajmująca, nie ma zalety ani ze stylu ani z języka: bo téż autor od najmłodszych lat mając do czynienia więcej z szablą niż z piórem, nie miał czasu pracować nad wyrobieniem sobie gładszego stylu.

Sześć rycin litograficznych, podług własnoręcznych rysunków Kopcia, przedstawia główne przygody i wypadki, w ciągu podróży jego do Kamczatki i powrotu: dodaną jest nadto w kroju arkuszym mappą Kamczatki i objaśniająca całą jego podróż.

K. Wł. W.

Popiel i Piast, tragedia w pięciu aktach, z podań i legend historycznych, wierszem, przez Mieczysława Romanowskiego. We Lwowie. Nakładem Karola Wilda. 1862 r.

Niedawno temu, z okoliczności *Poezyi ostatniej godziny*, oddaliśmy cześć ostatnią jednemu z mistrzów słowa, umilkłemu na wieki w połowie drogi; dziś niech nam wolno będzie rzucić kilka kwiatów na świeżej mogile poety, zgasłego w samém zaraniu dni swoich.

Nie zbyt jest liczny poczet prac jego ducha; ale bo téż i nie długo gościł mu przyszło na ziemi. W tém jednak, co od czasu do czasu dawał światu z siebie, widnieje pragnienie światła i rosy ożywczej, i co za tém idzie, nasiąkanie prawdą, wzmaganie się w siły, aż i dojrzewanie stopniowe tego kwiatu duszy, który, jak słońce ku słońcu, wiecznie koroną swego czoła ku ideałowi się obraca. Kiedyś postaramy się może dać nieco zupełniejszy obraz tego tak krótkiego a tak już zapełnionego zawodu;

dziś ograniczymy się tylko na zdaniu sprawy z ostatniego dzieła młodego mistrza, w którym, sam nie wiedząc o tém, wystawił sobie pomnik grobowy.

Ale téż zaprawdę, piękny to pomnik! Zwykłym to jest, jak wiemy, udziałem pracowników ducha, że długo po ich zgonie, wieki nawet, we własnych dziełach ich, niepożytym widokiem oglądać można treść ich żywota, niby napis na mogile, który opiewa zasługi zmarłego, zwyczajnym ludziom obcą, choć życziwą dłonią kreślony. Ale są tacy co przeżyli własny swój pomnik. Niektórym Opatrzność daje umrzeć w porę. Tacy przechodzą w wieczność jak pieśń skończona. Wygląda to nieco na kazuistykę; pieśń mogła potrwać dłużej, mieć rozwinięcie jeszcze zupełniejsze, zwroty, zakończenie mniej spodziewane. Ale mógł także koniec jój nie uwieńczyć dzieła: i to się zdarzało. Mówiąc to, wyobrażamy sobie pomnik chwały w postaci obelisku. Ostry jest a iglasty szczyt jego, i wygląda cały jakby był skamieniałym promieniem wypadłym z oprawy słonecznej. Przeciwnym krańcem wrósł w ziemię, niby ogień Prometeusza wykradziony z nieba. I tylko o różowym brzasku i o zachodnich pożarach przypomina sobie słońce pokrewieństwo swoje z tym zabytkiem lepszych czasów, bo zresztą objęły go zewsząd drzewa dumającym cieniem. Niestety! niechże choć na czole jego zwiesza się z ukośsa wieniec wiecznie świeży, któryby z równym uczuciem mogła zwilżać rosa ziemska, jak całować niebieskie słońce.

Rzecz, o której mówić mamy, jest właśnie wieniec, który godnie zawiesić można pomiędzy ziemią a niebem, jako ostatnie, najwyższe słowo wieszczą kończącego arcydziełem. Nie zdaje nam się, żebyśmy powiedzieli zbyt wiele. Jest to mistrzowska robota. Nie zrobimy ujemy jój sprawcy, porównyując go z tym lub owym pisarzem, lub dzieło jego z tym lub owym utworem. Zgasły poeta myślał samodzielnie, szedł o własnych siłach, dorabiał się własnymi środkami, stworzył rzecz istnie piękną, okazałą, okrągłą w sobie, pełną świeżości uczucia, pełną prawdy i przeto potęgi. Szlachetny wzlot ducha zewsząd opromienia to dzieło w sposób jednostajnie zwyczajki. Obrazowanie tam śmiałe, więc silne; rysunek wszędzie dzielny, szeroki: ztąd światła i cienie zarówno energiczne. Jest to dramat wysokiego nastroju, nawet istotnie może tragedia. Taka tam potężna, pełna wagi sprawa, tacy tam bohaterowie, takie walki duchów! I co za życie, co za ruch misterny! I obok tego, jest to raczej związane słowo z wielkiej przeszłości. Niby tajemnicze

runy, więcej jeszcze dające do myślenia niż wypowiadają wyraźnie. Akcja wre jak rwisty potok, przedmiot rozwija się z gorączkowym wyuzdaniem rozkręcającej się sprężyny, zajęcie wzrasta jak lodozwał pchnięty ze szczytów prujących obłoki. Jednak przemądrze obrachowany spadek téj powodzi wrażeń, miarkuje jakaś osobliwsza wstrzemięźliwość stylu, jakiś nieujęty powab formy, wdzięk szczegółów i okągłość całości. Rzecz prosta bardzo, i dająca się streścić w jednym słowie. Na dnie tego przeczystego źródła, z którego poeta pełną dłonią czerpał natchnienie, mieszkała prawda, wiekuiste piękno.

Czas wreszcie bliżej rozpatrzeć ten utwór niepospolity.

Przedmiot do niego wzięty jest z téj skąpój przeszłości naszej, sterczącej już tylko *Myszą wieżą* ponad rozsypujące się mogiły, których nawet i nie bardzo warto radzić się, tak są nieużyte. Od czasu do czasu, świętokradczy rydel wydrze im z łona: to niezrozumiałe jakieś bogi, to zagadkowe napisy, to sprzęty niewiadomego dziś użycia, to naczynia łoż pełne, czyich i po kim, i z jakich czasów? któż zgadnie? Czasy te żyją już tylko w podaniu, życiem wątlém, senném, przezroczém, odepchniętém z pogardą przez historyków, przez kronikarzy dobroduszenie spowitém w symbola i allegorye; tak, że więcej tam całunu jak ciała. Istotnie zaś, nie żyje już dla nas przeszłość ta, skoro się jój nawet pieśń zaparła. Wiemy tylko, że nagrzeszyla nie mało, i że jój za to zapłacono co się słusznie należało. Jakieżmiż tedy słowa zdjąć z niej czarodziejskie zaklęcie? Jakieżmiż rozmówić się z nią? w jaki sposób skorzystać z jój zwierzeń, gdyby się je nawet podsłuchało? Dla dziejopisarza same tu bezdroża i nieużytki, bo z tradycyi nie wykroisz nic nad hipotezy, a historia jest wielką matematyką duchową, której koniecznie potrzeba trzech danych, jeśli ma wynaleźć wyraz czwarty. Ale orli wzrok wieszcza, z wysokości chmur ogląda widnokreśli, znane już tylko *widzącym* z po za świata. On, spojrzeniem nawykłém patrzeć w słońce, zagarnia je na własne państwo swoje; widzi gdzie szczyt niebotyczny, gdzie przepaści mogilne, bo mu wolno przeczuwać, wolno mu nawet stworzyć, czego odtworzyć niepodobna.

Był poeta, co w tych samych, odepchniętych daleko przestrzeniach, wypatrywał przedmioty do swojej liry. Twórcza wyobraźnia jego umiała wysnuwać fantastyczne widziadła z téj mgły sennój. Miały tylko wiotkie, rozplywające się zarysy; on

próbował dawać im ciało. Do ciała dorabiał życie. Wkładał ogniki błędne w zagaskę ich źrenice, wlewał pieśń w usta, w których mowy nawet nie było. Kazał im grzeszyć i cierpieć, kochać i rozpaczać, śmiać się i płakać. Mówimy tu o Słowackim. Przecież ten wieszcz, na podobieństwo mytycznej trumny Mahometa, wiecznie zwieszony pomiędzy dramatem i pieśnią, żadnemu z nich nie ślubował wyłącznie, nieustannie usiłował znieć jedno z drugim, zaplatać, powinowacić, wtlaczać w jeden akkord, nierzadko mniej strojnie. I potem, nazbyt go z jednej strony kusił do siebie Byron, nazbyt z drugiej pociągał Szekspir. Ostatecznie, Słowacki był raczej lirykiem z wrodzonego popędu; dramat zdaje się być tylko estetycznym jego przekonaniem. Probował nawet z pieśni tworzyć dramata (Balladyna); ale na tomiast każdy dramat jego jest tylko pieśnią podzieloną na sceny.

Powiedzieliśmy to już wprzód: nie chcemy i nie możemy porównywać Romanowskiego z kimkolwiek, tém mniej ze Słowackim. Dzieli tych dwóch mistrzów cała przestrzeń dwóch przeciwnych biegunów powołania. Romanowski urodził się poetą dramatycznym, tak jak Słowacki lirykiem. Zbliżyliśmy ich tylko przez chwilę, ze względu na wypadkowo wspólne źródło natchnienia; choć i ta jeszcze wspólność jest całkiem pozorna. To co Słowackiemu zdaje się losem tylko wypadło, tego Romanowski szukał wyraźnie; to co u pierwszego jest tylko sposobnością jedną z wielu, w to drugi włożył całą potrzebę swego ducha. Rozświecić promiennym błyskiem ten wielki przełom dziejowy, który naraz wyparł się swoich przodków, odepchnął ich w zapomnienie, na to, żeby sam tylko został protoplastą; wydobyć z rozwianego prochu życie potężne, tętniące; z prawdopodobieństwa wysnuć prawdę, z możebności przekonanie; podjąć to ogromne zadanie, wykazania wszystkich boleści porodu nowej ery, uprzytomnienia kataklizmu który pochłonął zużyte społeczeństwo dla nowych dróg w przyszłości, wysnucia z tej ciężkiej pracy ducha niepłonnej nauki dla pokoleń; zdało się naszemu wieszczowi obowiązkiem do spełnienia, należnym do przekazania potomności dziedzictwem, rozporządzeniem ostatej woli przed zgonem.

Zaprawdę, niepoślednia to robota! Dlatego téż godzien jest pracownik zapłaty swój. On dumał i wpatrywał się wzrokiem *widzącego*; on pytał i wyraźnie słyszał odpowiedzi; on kochał i mógł co chciał.

Popiel i Piast, to zmierzch po jednej stronie widnokregu, po przeciwniej, brzask dnia nowego. To niby nagły przekrój Bożeczęcia nowego szeregu liczb, który będzie wartością, wszystkiego co poprzedziło. Miecz cięż, słysząc prucie, trzaskanie i łomot niepokojący dalekie echa. Stara monarchia Lechowa pada się w kęsy, oddawna już podgniły zręby téj świetnej niegdyś budowy. Spróchniały dach trzeszczy po nad głowami starych bogów, chwieje się pod niemi posada; za chwilę padną, gruchocząc się w wzajemnych objęciach. Zewsząd groza; próżno się chronić ku ścianom: tam wrogi taranami wałą; próżno chcieć zostać w środku: tam wichier niezgody rozmiata ognisko domowe. Pośród trzaskawicy téj Popiel ujął berło przodków. Mniema, że je po staremu dzierży orlim szponem, ale darmo. Sprzągł się z chrześcianką, zaraził zachodniemi powiewy, powalał o Niemców. Tu znajdujemy w zarodkach wszystkie przyszłe kłęski nasze: cywilizacją germańską, prywatę możnych, poniewierkę ludu wiejskiego. Co tu robić? ha! wszystką władzę w jedną dłoń zgarnąć. Tak téż i radzi młoda i piękna małżonka; do tego ona czytać i pisać umie, ją uczyli mnisi łacińscy. Dobrze to, ale z iudu wyszedł pierwiastek władzy. Więc Popiel naprzód w lud uderzy. On zegnien ten kark zbiorowy i położy na nim z razu nogę wojewodów; o karku wojewodów pomyśli z kolei. Kmiecie wiec mają, niech nie będzie wiecu. Zadumał się Piast stary, ale co tam zważać na to! A tymczasem co się to tam dzieje u Odry? To łacinnicy zawitali ze swoim Bogiem. Niby łacinnicy, ale właściwie Niemcy drapieźni; niby z Bogiem, ale właściwie z szatanem. Niby zawitali, ale raczej jak zwykle, zwalili się całym brzemieniem jarzma, gwałtu, mordów, pożogi i grabieży.

W tém miejscu rozpoczyna się rzecz dramatu.

Żóraw, rycerz zaodrzański, przybywa w imieniu swoich błagać wsparcia Popiela. Jednocześnie przybywają i posłowie niemieccy, uderzyć sojusz ze świeżym sąsiadem. On? sąsiadem Niemcom? zkąd i jakim prawem? Budzi się orzek. Popiel trzymać chce z Zaodrzanymi braćmi. Próżno Niemcy znoszą dary. Płaszcz szkarłatny widocznie jest w krwi Zaodrzan prany. I jeszcze o hołd im chodzi. Precz nędznicy! Tak więc wojna będzie z najezdnikami Słowiańszczyzny. Wojna wybucha. Ale jak wiemy, kmieciom odjęto stare prawa; więc się mają na uboczy. Moznaby skorzystać z tego położenia rzeczy dla własnych zysków. Tedy zjawia się pięciu książąt stryjów Popiela, odstąpić go w najcięższej bitwie. Niby sprzysięgają się z Niemcami wspomagać ich, ale właściwie

radziby zgubić obie strony, wyczekując skutku, aby potem uderzyć na zwycięzców. Pogorsza niebezpieczeństwo tego położenia trzymanie się bierne trzech wojewodów, którzy zatrwożeni krzywdą kmieci, wybrali stanąć po ich stronie. Przychodzi do spotkania z Niemcami. Zdrada wypływa na wierzch. Wszakże król w przystępie słusznój wściekłości, nie wiedząc kędy ugodzić, męsza winnych z niewinnymi i na oślep uderza gdzie trafi. W tém miejscu wzmaga się pathos dramatu. Popiel raz już zwalany krwią brnie dalej. Potęga silniejsza niż wszystkie względy, nieubłagane pcha go do działania na przebój. W tém, w czém wprzód uważał tylko umocnienie władzy, dziś widzi niezbędną polityczną, warunki bytu. Wymierza stanowczy zamach w kmieci, ale cios przechodzi im po nad głowami; uderza w stryjów i cios wraca w własne jego piersi. Zrywa się z nagła matka jego, stara orlica, i gromem przekleństwa kruszy dumne czoło zbrodniarza. Ona z kmieci wyszła, do kmieci też wraca; ale z nią i błogosławieństwo Boże.

Wśród tych szatańskich zapasów, niby zjawiska z lepszego świata, skaniają się święci wysłannicy Pańscy szukający męczeństwa. Odpychani wracają, aż wrócą i zostaną; bo to co oni mają z sobą, koniecznie przyda się prędzej czy później. Ozłaca też dzieje te grozy i szamotania pełne, tkliwa miłość Ziemowita, syna kmiecego ku słodkiej królownie. W pierwszym przebłyśku świt niedalekiego odrodzenia w Prawdzie; z drugiego wyjdzie narodzić odrodzenie polityczne.

Idźmy dalej.

Nie padli ci którzy byli powinni. Pozostali stryjowie, poślubiwszy zemstę z osobistą korzyścią, zmówili się zwalić Popiela i podzielić się jego łupem. I jak bywa w takich razach, jeden z nich przedsięwziął potajemnie sam tylko przeżyć drugich. Jest to Zbigniew, ten sam, co już raz namówił braci do zdradzenia Popiela. Jednocześnie, po dzielnicach pomordowanych książąt, rycerstwo obwołuje władców nowych. Niektórzy też wojewodowie ogłaszają się udziałnemi książętami. Wszczyna się rozkład powszechny, nigdzie hamulca ni klamry, a kmiecie milczą uparcie. Ha! co tu robić. Kmieci przypasać sobie jako miecz do boku. Popiel da za żonę Ziemowitowi własną siostrę swą, która kocha dzielnego rycerza. Nic z tego. Dumny kmić odepchnął szczęście syna, bo on żąda uczczenia praw starych, a nadewszystko czystości ofiary, ale nie wyniesienia się własnego. Także i nie na darmo dosłyszano w niebie przekleństwo Matki Rodu. I nie u bogów już wybłagać jej odwołanie przekleństwa. Oni ogłuchli już, ostygli, czy

téz zabierają się do odejścia. Do jakiegożby tu innego Boga się zwrócić? gdzie i kędy?

* Tymczasem kamiennym, nieubłaganym krokiem, zbliża się kres fatalny. Z trzaskiem gruchoczą się ostatnie deski ocalenia, i Popiel, obezwładniony Tytan, wraz z całym niepotrzebnym już na ziemi rodem Lecha, zapada w otchłań przeszłości, która zamyka się na wieki po nad wyniosłą jego głowę.

Grobową cisza nastaje nagle po téj wrzawie tak niedawnej. Teraz dopiero, lub nigdy, dosłyszany będzie głos prawdy. Palec Boży przesunął się po krwawej karcie zaciągniętych długów i zmazał winy. Więc na téj roli świeżo zaoranej mogiłami, rozsiada się olbrzymi wiec społeczny, w którym naród rolniczy święci sobie uroczystość pojednania, przebaczenia i zapomnienia. Jedyna pozostała jeszcze ujemna potęga z Lechowój rzeszy, stara królowa, kona w łasce krzyża, oddając córkę zbawcy swego narodu. Wtedy Piast wdzięczném sercem przyjmuje dla syna ten dar sierocy, jako dziedzictwo dobrej woli i zakład nowego przymierza. Aliści oto i błogosławieństwo niebios życzy sobie spocząć na téj głowie sędziwój. W natchnieniu proroczem, lud jak jeden człowiek, wykrzykuje Piastą królem. Najprzód lud, potem łączą się i rycerze, aż wreszcie i pojednani wojewodowie rodów. Święty mąż namaszcza błogosławieństwem ten węgielny kamień nowój budowy, która niebawem rozednieje światłością Prawdy.

Mogliśmy dać zaledwie nagi szkielet przedmiotu; więcéj szczegółowe rozwinięcie treści uniosłoby nas zadaleko.

Jest to wspaniała, szeroka robota. Zachwycająca w szczegółach, przedziwnie okrągła w całości. Duchowa strona dramatu uderza głęboką znajomością serca ludzkiego, sumiennemi studjami namiętności, ale nadewszystko niepospolitym poglądem historyozoficznym. Osobliwsza trzeźwość nastroju sprawia téż, że pomimo całego wrzenia akcji, pomimo bardzo wielkiéj liczby działaczy, nie ma tam ani wrzawy tonów, ani zamieszania w obrazach, ani choćby zbytecznego słowa. Fantazyja téż poety, acz wielce rozbudowana, w więźności się kocha; i to się jéj liczy za kunszt misterny. Charaktery rysowane silnie, wprawną ręką, rzadko nawet z profilu tylko

Popiel jest ogniskiem obrazu. Niewypowiedziana energia, z jaką jest pomyślany ten duch niespokojny a wyniosły, przypomina kreacye Michała Anioła. Dziwnie jest konsekwentny. On zgnieciony nawet, zmięty jak źdźbło w pięści przeznaczenia, jeszcze nie inaczej umrzeć chce, jak wszystkich swoich zagarniając

z sobą; na podobieństwo zwałonego dębu, w pobliżu którego nie się nie ostoi. I jeszcze, on tylko z własnej dłoni umrzeć raczy. „Gdzie Popiel?” pytają wpadając rycerze. A on, unosząc się, na zboczonej prawicy: „Ginie, powiada, jak królom przystało: z swęj własnej ręki”. Ten to sam duch krnąbrny, gdzieś na początku dramatu wybierając się na wyprawę, kiedy go żona trwożnie pyta: „kogo stróżem zostawi w swęj strzesze”, powiada butnie:

Ja miano „Popiel” w powietrzu zawieszę,
A strzedz was będzie postrach tego miana.

Małżonka ta wielce ukochana, jest niby duchem złym Popie-la: albo raczej stroną ponurego cienia, który hojnie nakłada na obrazie nieubłagany kazuizm, w osobie mnicha towarzysza królowej. Ale podobno i on sam także jest tylko marnym pędzlem w ręku przeznaczenia.

Stronami obrazu poglądającemi ku słońcu, są charaktery: staręj królowej, otulającęj się do mogiły całunem padłego już w szmaty majestatu; królowny, stanowiącęj słodki zadatek nowęj zgody ducha; Piasta, usobiającego w sobie lud kmiecy i Ziemowita odnawiającego stare rycerstwo Lechowe wyszłe od skiby rolnej.

Ale osobiłszą glorią dramatu jest święty apostoł Metodyusz. Nie potrafimy wypowiedzieć dziwnęj wstrzemięźliwości, z jaką nasz poeta umie tą przebłyskującą dopiero ideą odrodzenia, wyłatać, że tak powiem, bronzowe tony staręj bohaterskięj epoki. Jest w tém jakaś dziewicza, prostoduszna, anielska prawda, jakaś pokorna ale wytrwała cierpliwość. Pozwolimy sobie załączyć tu kilka przykładów w tym względzie; nie obiecując jednak dać z nich pojęcia o całości. Bierzemy je nawet na chybił trafił, taki tu kłopot w wybieraniu.

Jest to na polu bitwy, właśnie w najtęjszęj potrzebie. Święty apostoł ze swym pomocnikiem, skaniają się pomiędzy walczącemi, grzebiąc poległych, usiłując nieść ratunek rannym, lub jeśli się uda i zbawienie konającym. Właśnie tylko co Popiel położył był trupem nasłanego na siebie przez stryjów skrytobójcę. Napotkawszy te zwłoki, święci znoszą gałęzie z lasu i ścielą z nich łozę w ziemi. Na to król nadchodzi:

Popiel (*poglądając na nich, do siebie*).

Dziwni! lica mają smętne,
A od ich spojrzeń serce jak wosk mięknie.
Jak oni tego trupa grzebią pięknie!

Jak ptacy liście znoszą mu zielone
Na gniazdo.

S. Metodyusz (*zbliżając się*).

Królu! twe roznamiętnione
Serce, na oślep przewala się w grzechy,
A gdy ci smutno, nie wiesz gdzie pociechy
Gdzie sobie szukać światła, które leczy.

Popiel. Światłem mi sława, troski miecz niweczy.
Lecz zkąd wy? kto was do mnie tu przysyła?

S. Metodyusz. Mój Bóg.

Popiel. Twój? który? jaka jego siła?

S. Metodyusz. Miłość u niego mądrością i siłą.

Popiel. Miłość?

S. Metodyusz. A ziemia dlań jest córką miłą.

Popiel. Lecz ja chcę poznać moc jego ramienia.
Cóż on przesyła dla mnie?

S. Metodyusz. Krzyż zbawienia,
I spokój ducha tu i tam w niebiosach.

Popiel. Ha! twój Bóg ciernie ma na płowych włosach,
I kona we krwi blady. Moje bogi,
Kiedy w niebieskie tam zadzwonią rogi.
To świat się deszczem piorunowym pali,
Kto jak ty, kij ma, a nie miecz ze stali,
Konającemu bogu niech się kłania....

Teraz z ostatniego aktu, scena śmierci Bożenney (starzej królowej):

(*Przed chatą Piasta*).

(Piast i Rzepicha prowadzą Bożennę; Kalina idzie przy Ziemowicie, za niemi kilku kmieci i rycerzy).

Bożenna (*do Piasta*).

Nikt nie kłął? (*) Na cóż przeklinaćby mieli!
Tęmby mi bólu, ni lat nie ujgli,
I onby nie wstał, aby umrzeć znowu.

Piast. Przysłuchiwałem się każdemu słowu.
Żadnych złorzeczeń nie było przy stosie.

Bożenna. Nie raz, pociechę czułam w ludzkim głosie,
Dziś mi pociechę dawało milczenie.
Nie mówcie o nim nigdy! przebaczenie
Krzywd doznawanych, nigdy nie wspomina.

(*) Mówi tu królowa o pogrzebie syna, tylko co odbytym, z którego właśnie wracają przytomni.

Rzepicha. Umarłych tylko serce złe przeklina.
A jeśli zdoła pocieszyć was słowo,
Powiem wam, żem lzy widziała, królowo.

Bożenna. Łzy?... Bogi!... (*do Piasta*).
Nie — nie — pod lipę. Tu jasno
I wonno. Słońce widzę. W chacie ciasno.
Tu siadę, Piaście... Wszystkie liście w złocie....
Tu się zatrzyma jego duch w przelocie
Nad głową matki, ptak, wędrowiec smętny.
Tu bezcielesny już i beznamiętny
Umierającą przekleństwo przebaczy.

Kalina (*u nóg jej*).
Matko!

Bożenna. Kalino! Zbądź z serca rozpacz.
Matce twój umrzeć trudno, gdy cię słucha.
Cicho!... Czy słyszysz w górze jego ducha?
Leci pod słońce jasne, i mnie woła.

Kalina (*z płaczem*). Nie, Matko!

Bożenna (*do Ziemowita*).
Przybliż się i pochyl czoła.
Ty dobre serce masz dla tej sieroty,
Ja błogosławie ci rycerzu złoty.
(*Do Rzepichy i Piasta*).
A wy tej córce bądźcie rodzicami.
(*Piast i Rzepicha klękają*).

Bożenna (*wznosząc ręce nad niemi*).
Tak! tak!

(*Wchodzi Św. Metodyusz*).

S. Metodyusz. O! chwała Panu nad panami!
Jeszcze przy życiu...

Bożenna (*do Kaliny*).

Cicho! chwilę ciszy,
Bo przebaczenia matka nie usłyszy,
I skona smutna tak, bez przebaczenia.

S. Metodyusz (*wznosząc krzyż*).

Nie. Tam na ciebie czeka Pan Zbawienia,
I Pan Miłości. Przytuł krzyż do łona.

Bożenna (*wpatrując się w świętego*).

Młodzieńcze! dłoń twa nademną wzniesioną,
Syna mojego głos odczarowała.
Przebaczył!... Niknie w mgle... Tam droga biała
Stacza się z niebios ku mnie... Idę!

S. Metodyusz. Z krzyżem!

Bożenna (*wgryza rękę do krzyża i dotykając go kona*).

Kalina (*rzucając się na nią*).

Matko!

S. Metodyusz (*kładąc rękę na jej głowie*).

W niebiosą uszła skrzydłem chyżem.

Budowa dramatu wielce jest misterna; zewsząd symetryczna, pełna harmonii. Układa się niby w foremną piramidę równego na obie strony spadku. Akt środkowy jest istotnie najwybitniejszym szczytem tego kunsztownego zbiorowiska wrażeń. Stanowi on niby przełom w tej szatańskiej gorączce, na którą ciężko się roznie mogła dusza Popiela; potem nastąpi już reakcja.

Pomimo szczupłości zakresu, nie możemy się odjąć pokusie wypowiedzenia choć niektórych piękności tej części dramatu.

A najprzód, ponieważ głównym prawie działaczem w tém miejscu jest żona Popiela, wypadnie i o jej charakterze wyrzec słów kilka. Jak powiedzieliśmy wyżej, jest ona poniekąd złym duchem Popiela. Ale to nie Lady Macbeth bynajmniej, to nie żadna zbrodnia zimna, wyrachowana, samolubna; to kobieta młoda, pełna powabów: to raczej kusicielka w dobrej wierze, wychowanka innych pojęć, zwyczajów, form towarzyskich; dotkliwie urażana na każdym kroku: to surowością cnót społecznych obcego sobie narodu, to pierwotną prostotą jego życia, nie znającą jeszcze żadnych wymysłów zamorskiej cywilizacji. Ona dotąd była tylko ślepem narzędziem w ręku mnicha swego powiernika.

Mnich ten zaś, Niemiec z rodu jak i ona, uosabia w zarodzie przyszłą plagę Słowiańszczyzny: krzyżactwo, pobielane groby pełne wewnątrz plugastwa i zgnilizny, Bractwo apostołów noszących na piersiach godło wielkiej idei, ale w sercu pychę tylko i chciwość. Powiadamy w *zarodzie*, bo istotnie i mnich ten niemiecki jest jeszcze w dobrej wierze. Tak dalece, ta chwala już powyżej przez nas wstrzymieźliwość sądu młodego poety, umie się i w tym razie wzniesć ponad słuszne względy narodowego rozżalenia. Wróćmy do królowej.

W chwili o której mówimy, już ona nie potrzebuje podszepców niczyich. Ziarno złego niepłonne wprawdzie padło na tę rolę, ale też rola była żywą. Odtąd mnich schodzi na drugi plan, królowa pójdzie dalej o własnych siłach. Stała się matką. Ona jak tygryca rzuci się teraz, zanim kto przystąpi do jej dziecka; ona teraz choćby z oktarza weźmie, byle dała synowi:

ona dopiero matką się stawszy, stała się zupełną. Ale nie uprzedzajmy wrażeń.

Wśród wrzawy bojów, syn się rodzi Popielowi. Już tylko co miał uleść dobrym popędom, kiedy przerażająca loika podmuchów złęgo ukazuje mu na oczy obowiązki nowe, nowe prawo do uprzątnienia zawad, nową drogę na przebój. Stara królowa, obstając przy dawnym zwyczaju postrzyżyn, wymagającym zebrania całej rodziny pod jeden dach wspólny, usiłuje pogodzić syna ze stryjami. Popiel ulega, ale jak tygrys walczący pod groźbą chłosty żelaznego pręta. Piast służy w tym razie za pośrednika. Królu, powiada, wracając ze swego poselstwa:

....Rycerstwo cieszy się nowiną,
I wraca do dom, z kąd wam przyszłe dary.

Popiel (*z oburzeniem*). Rycerstwo moje cieszy się?! Idź stary!
Wy wszyscy razem kochać nie umiecie,
I nienawidzić...

Tymczasem czuwa młoda królowa. Ona jedna kochać potrafi, ona i nienawidzić. Stryjowie zginą potruci. Sceny pasowania się, a następnie powolnego osvajania się Popiela z tą myślą, są niezrównanej piękności. Przytoczymy z nich choć jedną. Popiel tylko co się był rozszedł z żoną, wchodzi na scenę, i niespodzianie zastaje Piasta:

Popiel (*sposstrzegając Piasta*).
Z czém kmięciu?

Piast (*pokazując kocz*). Z darem.

Popiel (*przystępując do niego*). Patrz mi w oczy, stary.
Ty — wiesz!?

- Piast. Co, królu?

Popiel (*chwytając go za ramię*). Przez jakie ty czary
Wiesz? Czemu ty się wpatrywałeś we mnie?
Starcze! ty żywy nie wyjdiesz odemnie.
Mów.

Piast. Co mam wiedzieć? Czy to was tak dziwi,
Że chodzę smutny? Niech się nie przeciwi
Oko twe królu smutkowi naszemu,
Smutku i bogi nie brenią.

Popiel (*opamiętywając się*).

Idź! twe

Słowu ja wierzę. Idź do domu stary,
A nie patrz nigdy w królewskie zamiary.
(*Piast odchodzi*).

Popiel (*sam*).

Jak cicho temu starcowi na świecie!
 Patrzył się na mnie jak na zdrożne dziecko,
 A w oczach śmiech miał pomieszany z łzami.
 Gdzie ja? Gdzie Popiel, co niegdyś z bogami
 Niebios na równi, ważył moc swą duszy?
 Dziś już oczyma kmięć mi łono kruszy,
 I może patrzeć w nie, jak w dzban rozbity.
 Biada im za to!.. Chociażby błękity
 Jak noc zczerniał, i piorunów zdroje
 Z bogami spadły na mnie... ja dostoję!
 Duszno! (*Otwierając okno*).

Tam chmury i we mgłach dzień szary...
 Niegdyś ojcowie spełniali tu czary,
 I jak świat światem, nie słycać w narodzie,
 By kto truciznę podał gościom w miodzie.
 O nienawiści moja! wrzecz mi w łonie!
 Jeśli trucizny tkną się moje dłonie,
 Niech mi się zdaje, że to miecz!...

Ale otóż zjeżdżają się książęta. Już dwóch zginęło w przeprawie przez jezioro. Uczta jest na zamku Popiela. Stara królowa gościem jest u syna, jak już dawno nie było. Adela hojnie nalewa czary.

Władysław. Nalejcież miodu! A kędyż dziecina?
 Lech tu panował, Lechem nazwiem syna.

(*Podnosząc czarę*).

Niechże wam rośnie zdrowo, niech się wsławi,
 Niech znów po sobie Lecha pozostawi:
 Imię to z szczęściem chodzi u nas w parze.

Adela (*podnosząc czarę*).

Po uczie, syna mego wam pokażę:
 Teraz dziękuję.

Książęta (*podnosząc czary*). Na szczęście dziecinie!

Popiel (*do Adeli ze zgrozą*).

Patrzaj, wypili, i żaden nie ginie.

Adela. Tchórzez—pij.

Popiel. Oni dziecko jadłem czcili.

Nie mogę.

Adela. Pij!

Popiel (*patrzy po stryjach, podnosi czarę, potem ciska ją o ziemię i porywa miecz*).

Nie!

Bożenna (*wstając*). Miecz? Cóż ci się stało?

Popiel (*chowając miecz*).

O! nie już, matko. Mnie się przesłyszało,
Że rogi dzwonią.

Bożenna. Cóż cię róg przeraża?

Popiel. Co? kmieć mi matko buntami zagraża,
Więc postawiłem strażników na wieży.

Bożenna. Oddaj ty kmiociom co im przynależy,

A kmieć obejmie straż nad twoją głową,

I w każdą, synu, godzinę gromową

Będiesz miał z niego i broń i puklerze.

Myślisz, że długo potrwają te wieże

Pod siekierami, jeśli kmieć powstanie?

Cierpliwie znoszą kmiocie uciskanie,

Bo spodziewają się, że ja ci, synu,

W sercu rozniecę znowu miłość gminu.

Ja, która z ojca od kmieci pochodzę,

Ja ich nadzieją, ja im dolę słodzę.

A wiesz, co będzie gdy ja zawrę oczy?

Krew tu się wasza strumieniem potoczy.

A gdzie kmieć zemstą i bronią zaświeci,

Tam w proch się puklerz wasz i gród rozleci.

(*chwila milczenia*).

Adela (*do króla*).

Gołębiu! Matka odpowiedzi czeka.

Popiel (*do Bożenny*).

Zrobię mir kmiociom.

Bożenna. Niech się nie odwleka

Ten mir, Popielu. Szanuj zwyczaj stary.

Adela. Zły z was gospodarz; wszędzie próżne czary.

(*Ciszej do Popiela*).

Mężnie Popielu! To się wnet już stanie.

Popiel. O mów! mnie trzyma twoje szczebiotanie.

(*Nalewają czary*).

Władysław (*podnosząc czarę*).

Dobrze bogowie o tym synu radzą,

Któremu, królu! taką matkę dadzą

Jak twoja matka. Jak orlica biała

Pilnuje goiada, które ukochała.

Żyście nam długo matko Popielowa!

(*Wypija czarę, nagle chwytą się za piersi i pada*).

Umieram! W ogniu moja pierś i głowa! (*kona*).

(*Wszyscy wstają i patrzą na Popiela, który z złożonymi rękami patrzy na umarłego*).

Bożenna. Przez bogi! Co to?

Popiel (*nieprzytomnie*). Tak! to jedno, żono:

Czy wejdzie szabla, czy trucizna w łono;

To wszystko jedno, i lepsze od wojny ..

Patr! jaki starca objął sen spokojny!

Bożenna. Zbrodnia!

Przemysław i Ziemomysł. Trucizna!

Popiel (*przychodząc do siebie*).

Struciście! każdy za chwilę tu skona.

Lecz moje serce dłużej nie wytrzyma,

Byście mi padli jak psy, przed oczyma,

Bez walki mieczem. O! moi stryjowie!

Ten jad nie wylął się w Popiela głowie.

Ten jad... nie tknęły go się ręce moje!

Ten jad... ja chciałem toczyć z wami boje...

Gińcie rycersko!

(*Porywa ze ściany trzy miecze i rzuca między stryjów, potem sam dobywa miecza*).

Oto macie miecze!

Uderzcie! we mnie serce jest człowiecze!

Jest krew! miecz ostry wejdzie w piersi moje!

Do zemsty! Trzech was.. ja sam jeden stoję!

(*Przemysław, Ziemowit i Wrocisław rzucają się do mieczów i padają bezsilni*).

Popiel. Nie gińcie! wstańcie! ja chcę walczyć z wami!

Stało się! wszyscy cichymi trupami...

(*Porywając Wrocisława za rękę*).

Wstań ty! ha! Nie już ciebie nie ocuci?

O!... (*rzucając miecz*).

Precz!

Bożenna (*nieprzytomnie*). Czy to syn?

Popiel. To ja!... a tam wrogi!

Z po za chmur na mnie nie patrzyły bogi

Oczyma słońca...

Bożenna (*przychodząc do siebie*). Kalino!

Kalina. Pójdźmy ztąd, matko!

Bożenna (*chwytając ją za rękę*). Czeka! mnie się marzy,

Że jasny piorun w mych się piersiach waży,

I pyta: którą pierwszej strzaskać głowę?...

Tak mówi stara królowa, zanim pełną piersią wyrzuci potrójne przekleństwo. Jestto scena przerażającej prawdy.

W ogóle, zewnętrznie nawet rzecz biorąc, układ sceniczny dramatu nie pozostawia nic do życzenia. Z prób któreśmy przytoczyli (a nie wybraliśmy miejsc najpiękniejszych, dając tylko co się nadarzyło), widzieć można, jak potężnego byłby wrażenia, odegrany żywym słowem.

Powtarzamy, jestto rzecz zewsząd piękna, okrągła, dziwnie strojna, dziwnie skończona w sobie. Może byłoby co do zarzucenia budowie wiersza nie dość wykończonój; wszakże ze względu na porywającą potęgę dykcyi, mamy to za rzecz podrzędną, zwłaszcza że w deklamacyi nic łatwiejszego jak zaradzić temu kosztem wcale małym. Najczęściej dość poprzekładać wyrazy, a harmonia sama podpłylnie. Widać ztąd tylko, jak dalece natchnienie wieszczu wyprzedzało u niego chłodne zastanowienie, i jak nie wiele tylko mógł dawać czasu łamaniu się z wymiarami słowa.

Na tém zakończymy nasz pobieżny przegląd niepospolitego dzieła.

Nie mamy przekonania, żebyśmy dać mogli choć słabe o niém pojęcie; dlatego śmiało odsyłamy czytelnika do jego własnego sądu, bo pewni jesteśmy, że wczytawszy się oczyma, czytać będzie sercem. Istotnie jestto utwór, do którego się przywiązać można. A cóż dopiero, pomyślawszy sobie, że to ostatnie już dzieło. Że po za wieszczem który je stworzył, zatrzasnęły się już podwoje wieczności, że był młody i zaledwie na początku swój drogi. Może pociągnie przykład nasz pióro jakie zdolniejsze; myśmy tylko chcieli, ile słabych sił naszych a potężnej chęci, oddać hołd wspomnieniu wielkiej duszy i szeroko kochającego serca. Przeto na téj świeżej jeszcze mogile, niech nam wolno będzie drżącą ręką złożyć wawrzyn skropiony kilku łzami. Może wschodzące słońce przejrzy się w nich, jak w kroplach rosy mających wzbić się ku niebu..... (f).

Jerzy Lubomirski, dramat historyczny, napisał Józef Szuj-ski. Lwów. Nakładem Karola Wilda. 1863 r.

Raczej z powodu niejakiego podobieństwa treści, jak z chęci porównywania co do wartości, spróbujemy zbliżyć ten utwór do poprzedniego. Nie chcielibyśmy jednak, żeby słowa te nasze, z góry niekorzystnie uprzedzać miały czytelników. Jerzy Lubomirski jest także piękną robotą, ale już nierównie umiarkowanięj piękną, powiedzilibyśmy nawet *w miarę* piękną, gdyby w tym względzie nadmiar był możebny. W miarę, rozumiemy tu po ludzku, po ziemsku, z pewnym stopniem udoskonalenia, ale i z grzechami jeszcze; z pewnym niepowszednim wzlotem ducha, ale i rozbijaniem się o te

i owe, nie dość przewidziane przeszkody: słowem, z pewną przewagą chęci nad wykonaniem. Właściwą tedy skalę porównania, jak powiedzieliśmy, stanowi tu niejako podobieństwo treści.

Oznaczmy rzecz tę bliżej nieco.

Któż nie zna tego opłakanego ustępu w dziejach naszych, którego głównym działaczem (samowiednym, jak chcą mieć jedni, mimowolnym według drugich), był Jerzy Lubomirski. Król chciał na prawy dobra publicznego, Lubomirski pragnął, żeby zostało jak dotąd było; z tą namietnością, prywata, aż i bratobójcze ciosy. Lubomirski, powiadają, stanął po stronie słańszkiej, w obronie praw, zrobił się stróżem bezpieczeństwa publicznego. Niestety! stroną słańską był król, prawa były tylko wyłącznością oligarchiczną, a niebezpieczeństwo groziło raczej od Szweda i kozaków. Z dwójga złego wolelibyśmy już rehabilitację króla. Ten nędzarz okryty purpurą, życie swoje zużywa na bezużytecznych zapasach. Błaga z płaczem żeby go słuchano, prorokuje, nie wie już dokąd się zwrócić; wreszcie oddaje nazad koronę, która mu była tylko wieńcem z ciernia. Nieborak przybył za późno. Poprzednio już Batory nie poradzić nie mógł. A przecież miał Stefan siłę woli, tegiego ducha i położenie mniej rozpaczliwe. Koniec końcem, wypowiedzmy prawdę nagą: Lubomirski był złym obywatelem, bo po prostu Sicińskim tylko, na większy rozmiar, i nie rozumiemy co nam przyjąć może z jego rehabilitacji. Za życia nawet byłaby zapóźną, a cóż dopiero po za grobem. Cechuje to pocziwą dążność naszego pokolenia, że radziłybyśmy uszanować nawet mniej strojne głosy z przeszłości. Strzeżmy się jednak, żeby po nas nie powiedziano: żeśmy ponosili pracę Syzyfową. Wszak za dni naszych probowano nawet oczyścić pamięć Radziejowskiego.

Ale zostawmy to raczej historykom, a sami tymczasem bierzmy Lubomirskiego, jakim go nam dają poeci.

Streszczając rzecz, idzie tu o zapasy władzy królewskiej z dążeniami do jej zcieśnienia. Ośm wieków przedziela ten fakt historyczny od podobnego w dziejach naszych za dni Popiela, jak nas uczy tradycja; tylko że wtedy, prostaczy chłopski rozum odniósłszy zwycięstwo, ocalił sprawę narodową; tu zaś rozum szlachecki zdaje egzamen swojej dojrzałości. Idzie i tu o swobody, ale o swobody trochę już zaswobodne, i to nie tradycyjne, jak dawniej, ale pozdobywane różnemi czasy swawolą i targiem. Dlatego też tam kończy się walka tryumfem dobrej sprawy, tu zaś postawieniem na swoim i niewczesnym żalem. Dziwna to igraszka Nemezy dziejowej, to powtórzenie w karykaturze wielkiego niegdyś dziejowego prze-

wrotu, zaczynającego epokę. Bo ma i tu król swojego demona, w osobie żony, także cudzoziemki, i tak samo pada ofiarą jak tam padł; tylko skutki są różne. Nie będziemy porównania posuwali dalej. Bo zresztą ujmąby było Piastowi porównywać go z Lubomirskim. Pierwszy wziął koronę, bo była do wzięcia; ostatni zaś, kto wie czy nie próbował wziąć ją, pomimo że miała żyjącego właściciela.

Jakkolwiekby, jest coś czy w przeznaczeniu tej postaci historycznej, czy też jak mniemamy, w samém założeniu chęci rehabilitowania tego co się rehabilitować nie da, że każdy kto się pokusił zrobić ją przedmiotem dzieła sztuki, koniecznie utknął mniej lub więcej. Szanowny Szajnocha, macając jeszcze drogi dla swych zdolności, spróbował na Lubomirskim dramatycznego pióra. Jest to z pewnością jedyna rzecz mierna, którą stworzył. Odynieć, na schyłku zawodu, jał się tegoż samego niewdzięcznego przedmiotu: wyszedł z tego dramat suchy, nudny, bez życia.

Szujski ma przynajmniej tę wyższość, że nie usiłuje stawiać Lubomirskiego na postumencie bezwzględnej cnoty i wielkości; przeciwnie, daje mu Achillesową piętę, może nawet więcej jak jedną, jak dwie. Zrozumiał go też, raczej jako bolesną igraszkę losów, jako człowieka pchanego fatalizmem, który zaszedł nie tam gdzie chciał, który dopiawszy swego, przekonywa się w prostocie ducha że grubo zbłądził. Radby się zawrócić, ale już nie czas; więc siada na rozstajnej drodze pod krzyżem, i znajduje: że najlepiej zostać w miejscu, bo któż wie dokąd zaprowadzić może szlak idący w trzy strony?

Ale znowu cóż nam po takim bohaterze? Czy to ideał na złe, lub na dobre? Czy cel, w którym on tonie okiem, jest dostatecznie wielkim na tę lub na ową stronę? Wreszcie, czy ma on chociaż dość potężną wolę, żeby sam jeden był działaczem? Przeciwnie, prowadzony jest na pasku, w sposób nieraz istotnie rozpaczliwy.

Co większa, równie jego, jak i wszystkie kardynalne sprężyny dramatu, trzyma jedna (w rzeczy nader podrzędna) ręka, i to się tylko dzieje, co ona uzna za stosowne. Ona kłóci, jątrzy, popycha, rozdziela: słowem, gospodaruje jak się jój podoba. Należy ona do Grzymułtowskiego, istnej karykatury Mefistofila, któraby uszła za ledwie w melodramie. Figura ta, najmniej podobno szczęśliwie pomyślana, odgrywa tu rolę pierwiastku fatalicznego ze starych tragedj greckich. Nie raz tak go zanadto, tak jest głównym działaczem, tyle zaśłania sobą, że czytelnik mimowolnie zapytuje siebie: dlaczego dramat nie nosi raczej jego

nazwiska? Chciał w nim autor uosobić swawolę szlachty, rozkład społeczny, brak wszelkich zasad, tak przeważnie już wtedy gospodarujący w Rzeczypospolitej: słowem, miazmata złego, zdolne usprawiedliwić nie jeden zawrót głowy w politycznym zdrowiu Lubomirskiego. Wszystko to dobrze, i względnie rzecz biorąc, Grzymułtowski, jako figura rodzajowa, nie pozostawia nawet nic do życzenia; ale ilekroć zdrowa krytyka zażąda w Lubomirskim wyzwąć bohatera, zawsze wtedy Grzymułtowski zrobi mu tę samą przysługę, jaką niegdyś zrobił Apollo Patrokłowi, kiedy go obdarł ze zbroi, owszem, prawie do naga, na to tylko, żeby go tém wygodniej zażyć mógł Hektor zwycięzki.

Tenże sam brak głębszego zastanowienia kierował autorem, kiedy Zamoyskiego przerzuca do partyi opozycyjnej, z tego miałowicie powodu, że się przekonał, jako mu się przeniebierza małżonka. Nie przeczę, jest to jednym więcej rysem charakteru tej epoki. Ależ znowu ta prywata, tak maluczka w stosunku do ogólnego interesu nadającego barwę dramatowi, postawiona zwłaszcza obok znaczenia takiej figury jak pan Zamoyski, obrzuca ją śmiesznością, która zapewne nie wyszła z zamiaru poety. W najlepszym razie, wojewoda sandomierski dokazał połączyć w jednej osobie Lubomirskiego z Grzymułtowskim.

Za to, wszystkie już inne postacie pozostają bez zarzutu. Są tu nawet charaktery niepospolicie ciosane od ręki. Do takich należy Czarniecki. Wchodzi on tylko ubocznie, ale to istny posąg bohatera. Nie możemy się odjąć chęci przytoczenia ustępu z trzeciego aktu, w którym on występuje. Idzie tu o sąd złożony na Lubomirskiego:

(*Wchodzi: Król, Prażmowski i Czarniecki*).

Czarniecki. Dwóch rzeczy mieć czeku się nie godzi:

Szabla a statut, to ogień i woda.
Nigdy jak żyję nie byłem jurystą,
Ni nad aktami ślecział w trybunale,
Nie mogę sądzić sprawy tej na czysto.

Król. Ale marszałka znacie doskonale.

Czarniecki. Tak. Czasem małe miewaliśmy spory;

Ale to właśnie sędziemu przeszkadza,
Bo *sine ira* ma być sędziów władza.
Dla tego z wszelką *submissyą* pokory,
Prosiłbym króla pana o zwolnienie;
Sądzić nie będę, nie da mi sumienie.

Prażmowski. Wszak sejm was wybrał, mości wojewodo,
Cofnąć się trudno, *nullo, nullo modo!*

A któż ma więcéj prawa sąd wydawać,
 Jak ten, co Polskę pierwszą był obroną,
 Co zwykł był pierwszy przy tym tronie stawać,
 Aby ostatni kraju brać zaszczyty,
Pater téj sławnéj Rzeczypospolitéj.

Czarniecki. Sądzić i gadać mnie nie nauczono.
 Na co to wszystko? Wrogów zewsząd siła,
 A my się swarzym, klóćim, perorujęm,
 Przędziem kabaly i światem wichrujęm.
 Wszystko na djabła. Kiedy Polska woła,
 Wa a od klótni. Ordynkiem do boju!
 Bogu i królom schylić korne czoła,
 I bić, ażeby dobić się pokoju.
 A że wrogowi zaraz chuć urasta,
 Skoro rozpuścim język jak niewiasta.
 Toć królom większej mocy w Polskę życzę,
 A kilku królów nie lubię po kraju.
 Zgodą a z kordem! Ho! ho! najezdnieze
 Wnetby się hordy napiły z Dunaju...
 A Szwed na jednéj uciekałby nodze.
 Z tym katechizmem, na sądowéj ławie
 Głupioby zasiąść, a i nie po prawie,
 Boć, jak Bóg miły, nie samby marszałek
 Ale i inni dekret swój dostali,
 A rejment cały zapalonych pałek
 Naprzódbym prosto posłał...

Król. Bogdaj my innych polityk nie znali.

Warszycki. Amen!

Czarniecki. Z hetmanem godnie począć radzę.
 Hetman ma wpływy, ma miłość i władzę.
 Dano mu pozew, to się wytłumaczy.
 Gdy nie, król ujmie go, gdy mu przebaczy
 Pomny affrontu, który mu uczynił.
 O związek w wojsku nie będę go winił.
 Cóż hetman winien, że żółd nie płacony?
 Żołnierz co głodny, do polityk skłonny.
 A gdy się cała sprawa ta przewali,
 Wielką wyprawę radzę....

I znowu daléj nieco:

Warszycki. *(do Czarnieckiego)* Wy z dworem, panie wojewodo Rusi.

Czarniecki. Z dworem, Nieczyste sumienie mieć musi
 Hetman, gdy sejmy zrywa jego ręka.
 Kto tu *(pokazuje piersi)* spokojny, sądu się nie lęka.

Pan Szujski jest sam historykiem niepospolitych zdolności.
 Na co tedy nie potrzebował wysilać *swady* poetyckiej, tam wszę-

dzie prawda silna, czysta, surowa. Król, królowa, Warszucki, Trzebicki, Prażmowski, Czartoryski, rysowani są śmiałą, pewną, mistrzowską ręką.

Ale nad wszystkich góruje Świdorski. Jest to ozdoba dramatu. Ten szlachcic istnieje rzymskiej próby, opromienia swoją cnotą najzawilsze zawiątki, w których się czai czarna intryga i pełzające prywaty. Jeden to już z bezdzietnych. On, kłaniając nawet, całą tę opłakaną sprawę narzuca świetnym całunem, na którym widnieje krzyż opleciony palmą. Tacy zdarzali się jeszcze na on czas, ku szczęściu ojczyzny, szkoda że już tylko wyjątkiem. Rzecz dziwna, wygląda on na nieodrodzonego potomka wojewody Mirosza (z Popiela i Piasta). Wtedy bywało jeszcze dużo takich. Za dni pochmurnych, w których żyć mu kazano, był on tylko jednym z niewielu. A prawnuk jego Mohort, był już ostatnim z swego rodu.

Koniec końcem, Świdorski jest uosobieniem głosu sumienia publicznego. Posłuchajmy go w ostatniej scenie, przemawia on tam słowami wyroku. Jest to pod Mątwami. Świdorski, zasłaniając odwrot króla, padł ranny śmiertelnie z bratobójczej dłoni. Żołnierze unoszą go z pola bitwy:

(Kilku żołnierzy wnoszą rannego Świdorskiego).

Żołnierz. A co? gdzie waszmość tak srodze raniony?

Świdorski. Mniejsza o ranę, nie wiele już trzeba.

Król uszedł?

Żołnierz. Uszedł.

Świdorski. Dzięk wam! wielkie nieba!

Żołnierz. Wam się podzięką od niego należy.

Słoniąc odwrót padliście.

Świdorski. Panie! Panie!

Przyjm tę ofiarę krwi co z piersi bieży,

Bo i ja na to dzwoniłem kazanie!

(Wchodzi Lubomirski z szlachtą i chirurgami).

Lubomirski. Pilnie opatrzeć, gdzie jeszcze tli życie.

.....

Ha! Siwe włosy strojne w wawrzyn chwały,
Idźcie w to błoto krwi! w te burz zawieje!..

Ktoś jęknął—

(Spostrzega Świdorskiego)

Nieba! Tyś to starcze biały?

I twa krew czysta dziś się za mnie leje?

Świdorski. Nie! jam królewski.

Lubomirski. Królewski!

Świderski. Hetmanie!

Pomnijcie waszych słów: że przy koronie,

Kto Polskę kocha, wiernie zawsze stanie;

Bo tak najwięksi czynili mężowie,

Bo ta korona jest na Polski głowie.

Lubomirski. Ha! pomnę starcze.

Głasy szlachty. Viwat marszałek!

(*wchodzą tłumnie na scenę niosąc sztandary zdobyte*).

Grzymułtowski. Szlachta znaki zwycięstw kładzie

U stóp hetmana.

I uroczyście. prosi

Na radę związku.

Lubomirski. Wiem o tem! Tutaj odbędziem obrady.

Marszałek gotów—leży tutaj błady

Od ciosów śmierci.

Borzęcki. Świderski nasz stary!

I po królewskiej stronie?

Świderski. Po królewskiej.

Borzęcki. Konfederacyi nadłamałeś wiary

Starcze!

Szlachta (*cisnąc się do niego*).

Świderski! Stary nasz Świderski!

Świderski. Słuchaj mnie, słuchaj o stanie rycerski!

Chwila a Pan mnie powoła niebieski,

Zdać mój rachunek przed tronem przedwiecznym;

Więc ja bezstronnym jestem i bezpiecznym.

Byłem wasz wprzód, dzisiaj z waszój dłoni

Umieram. Pocisk który mię uderzył,

Sam ja ukulem i w siebie wymierzył.

O! jeśli drogie wam imię Polonii,

Wstrzymajcie straszny bój!

Grzymułtowski. Te daje rady,

Z którego na pół krew serca wyciekła,

Nie żywy szlachcie.

Świderski. Milcz! ty synu piekła!

Tę radę daje ten, co śmiercią błady.

Co jedną nogą, już na tamtym świecie,

Z tamtego świata, wie, kędy idziecie!

Idziecie w straszną toń —w śmierć—w śmierć idziecie!

Wolność się na was jak mur chwiejny zwali,

Kord wasz, skalany w braterskiej rozterce,

Od szturmu wrogów Polski nie ocali,

W jej serce trafi— jak dziś w braci serce!

Gorsi: od niego (*wskażując na hetmana*)

Wejdą w jego ślady,

Grzymułtowskiemi zaroją się rady. . . .
Coraz to ciemniej—ratuj Jezu Chryste! (umiera).

Lubomirski. Mości panowie! Pękło serce czyste.
Chodźmy! Pogrzać godzi się uczciwie,
Siwego starca, na ojczystej niwie,
Którą uprawił krwią swą razy tyle.
Są czasy, gdzie ten szczęśliw co w mogile....

Takim jest ten dramat, smutny w sobie, przejmujący do głębi, podobny do wrzącego sposobienia się żywiołów przed wybuchem burzy.

Nie brak tam pierwszorzędných piękności pod wielą względami. Sumienne studia tajemniczych głębi serca ludzkiego, kunsztowna namiętność w stopniowaniu walk i cierpień duszy, obrazowanie zgrzeszne, staranne, należy do celniejszych zalet tego dzieła. Nawet stro nie jego artystycznej nie wiele będzie do zarzucenia, jeślibyśmy mu osobne zastrzegli warunki. Nie jest to bowiem dramat w ścisłym znaczeniu tego słowa; ale raczej zbiór obrazów w dramatycznej formie. Układ sceniczny wielce tam dorywczy, nieloiczny, słowem, wadliwy całkiem. Akcja także bardzo nierówna, niekiedy bez miary powolna, indziej gwałtowna a przerywana. Wiele też tam dydaktyzmu, naprzemian z subtelną lirycznością. Dla tego mniemamy, że utwór ten, wprowadzony w życie, nie zrobiłby wrażenia; a przynajmniej musiałby być skrócony i dużo przerobiony,

W ogóle, sądziłby się godziło, że robota podjęta była nie jednym ciągiem, ale jakby w dwóch epokach przedzielonych przerwą niemałą. W części według nas dawniejszej, którąbyśmy zaznaczyli prawie po połowę trzeciego aktu, nierównie jest mniej życia i doświadczenia scenicznego. Część następna przedstawia już pewne udoskonalenie pod każdym względem. Może się mylimy, może po prostu umysł autora pracował tylko w nierównych warunkach i coraz inném usposobieniu ducha, a może, co najprędzej, w miarę postępu dzieła, wzrastało szczęśliwe natchnienie poety; i to bywa. Wszakże, na usprawiedliwienie naszego przypuszczenia, ośmielilibyśmy się przytoczyć scenę (z aktu drugiego) pomiędzy Lubomirskim i Świderńskim, która wyróżnia się od reszty wierszem trzynasto-głoskowym, nie użytym już nigdzie więcej w ciągu dramatu. Być może, że była ona próbą pióra, jądrem, z którego się urodził cały dramat. A tak znowu, to co do niej dorobiono, znacznie uprzedzić mogło resztę.

W gruncie byłaby rzeczą całkiem obojętną, ta analiza mechanizmu tworzenia, gdyby tu nie szło o estetyczne piękno, wymagają-

ce form jednostajnie nastrojonych do ogólnej harmonii, co przy niejakić dbałości, ani jest niepodobnem, ani nawet trudnem. Dysharmonię tę spotężnia jeszcze dziwnie naganne niedbalstwo wersyfikacyi, niedające się niczem usprawiedliwić u takiego poety jak Szuj-ski. Zarzut niepoprawności wiersza zrobiliśmy także poprzedniemu utworowi. Wszakże tam, wada ta, jak powiedzieliśmy, w części da się z łatwością uprzętnąć, w części zatrzeć, czy zagadać, palącym pośpiechem postępu wrażeń. Tu zaś, nierównie więcej jest względnego spokoju, wszelki się ma czas do zastanowienia; należało to uwzględnić, jeśliby przypuścić można jakąś w tém samowiedzę ze strony autora. Co do nas, wolimy mu przyznać raczej brak dobrej chęci.

Chętnie nawet, zarzut ten, rozciągamy do wszystkich w ogóle usterków niniejszego dzieła. Nie uratuje to jego autora, ale też i nie potępi ostatecznie. Gdyby chciał, z pewnością byłoby inaczej. Wierzmy najmocniej, że zechce i dla tego, w ubezpieczeniu ducha, śmiało czekamy od niego, skończonego, całkowicie pięknego dzieła, którego szczęśliwą próbę, pomimo pozorniej niechęci, serdecznie dziś witamy w Lubomirskim. (f).

Wiadomość o sejmie galicyjskim podług protokołów sejmowych, dla ludu napisana przez posła sejmowego. Kraków. Nakładem posłów sejmowych. Czcionkami Karola Budwejszera 1861. W 8ce. Str. 27.

Na czele autor podaje następną wiadomość o sejmie galicyjskim:

„Co się też tam działo na sejmie lwowskim? niejeden z was pyta, ktorzyście deputowanych wybierali i co szczerze pragniecie, ażeby już raz lepiej było w kraju. Czy panowie obrani na posłów przez włościan, obstawali za chłopami, a chłopci czy upominali się o swoje i gromadzkie sprawy? Czy Polacy i Rusini byli ze sobą wzgodzie, co do wspólnych interesów kraju? Cóż tam narzeczcie wszyscy uradzili i jaki z tych narad będzie skutek? Czy nam będzie lepiej, czy też dawna bieda pozostanie? Bo coś nam po sejmie, któren wiele czasu i niemało pieniędzy kosztuje, jeżeli deputowani, albo nic dobrego nie uchwalili, albo Najjaśniejszy Pan ich uchwał nie zatwierdzi? Te i tym podobne pytania, słusznie nie

jeden z was uczyni, bo nas wszystkich jedna i ta sama bieda gniewie, bo wszyscy pragniemy ulgi w naszych cierpieniach, a wszyscy spodziewamy się, iż podług woli N. Pana, nasz sejm tę ulgę nam przyniesie. Otóż będąc sam wybranym na posła, powiem wam wkrótce, co się na tym sejmie działo i jakich z niego skutków spodziewać się mamy”.

Po czym z dziewięciu posiedzeń sejmowych od d. 15 kwietnia do 26 t. m. 1861 r., krótkie a jasne daje sprawozdanie. Znać w nim biegłe pióro, wprawne i umięjące jako lud nasz wyraża, *dokumentnie* rzecz każdą przedstawić.

Nie wiemy ile włościan galicyjskich będzie czytać tę książeczkę, bo jeżeli, w bliższych okolicach Krakowa, Tarnowa, Rzeszowa, znajdzie niemało chłopów umięających czytać, to w osadach prawdziwie ruskich, dotychczas rzadki jakby raróg, któryby znał literę, a témbardziej łacińskie; gdy święto-jurcy, z szczególnem zaślepieniem, mówiąc po polsku na sejmie (dając tylko zakończenie wyrazów ruskiego gwaru i lekkich zmian *g* na *h*, *r*z na *r*.) oświadczają że tego nie rozumieją języka.

Pomimo to, praca autora nie jest daremną: o ile wiemy czytał ją lud, lub kazał sobie czytać i rozumował o swoim sejmie. Zbliżenie jego do spraw krajowych nie małe ma znaczenie. Nie będziemy się zapuszczać w szczegóły, bo te głównie łączą się z potrzebami jedynie miejscowemi. Jedyna rzecz, która kiedyś i u nas stanowczo rozstrzygniętą być musi, są tak zwane *sprawy służebności*, czyli co do wrębu i pastwisk. Sejm postanowił sądy polubowne, złożone, w równych częściach z włościan i dawnych dziedziców.

W.

Album J. I. Kraszewskiego. Zeszyt pierwszy. Podlasie. W 4ce podłużnej. Str. 8 tekstu i sześć rycin litograficznych oprócz tytułu. Litografia A. Dzwonkowskiego.

Zeszyt ten obejmuje głównie wieś *Romanów* na Podlasiu, miejsce, gdzie nasz autor pierwsze lata swęj młodości spędził.

Piękna to i uroczą siedziba, przypominająca dawne polskie dwory, z polami żyznemi, wielkimi lasami, dostatkiem wód i przeszlicznym ogrodem, który byłby najwspanialszą ozdobą każdego pałacu.

Na małym wzgórku wznosi się nowy, murowany dom, w wien-
cu starych drzew, olbrzymich olsz, a każda prawie z nich nosi na
sobie gniazdo bocianie. Po za domem ów pyszny ogród, a w nim
kilkaset starych świerków, co stanowią jego prawdziwy skarbiec
i osobliwość.

Zwiedzałem tę uroczą ustron wiejską, aby odwiedzić szano-
wnego jej właściciela Jana Kraszewskiego, a ojca zasłużonego ty-
le w Polsce pisarza. Jego gościnne przyjęcie, szlachetny chara-
kter i rozmowa, ożywiona mnóstwem podań narodowych, przy-
pomniała mi czcigodne postacie mężów z czasów ostatnich lat
rzeczypospolitej.

Romanów każdego obcego pięknoscią widoków zachwycić
musi; nie samo więc zamieszkanie ojczystego gniazda, kierowało
ręką autora do zdejmowania uderzających więcej urokiem swoim
miejsc tej ustroni wiejskiej, ale i uczucie artystyczne, które za-
trzymywało na nich spojrzenie, lubujące się nimi.

„Przyznać się muszę do grzechu (mówi J. I. Kraszewski we
wstępie) do tego grzechu, że od młodości lubiłem zawsze sztukę
i nie dość żem ją kochał, nie mogłem się oprzeć pokusie próbo-
wania, czy i ja tym językiem przemówić nie potrafię. Ile się to
tam papieru popsuko, czasu zmarnowało na to i zdarło prób da-
remnych, przykroby się spowiadać. Ale jeśli wolno innym mieć
słabostki do różnych w świecie zajęć, daleko podług mnie, mniej
ponętnych jak rysunek: dlaczegóżby mi zabronionem być miało
psuć papier i ołówki, dla tego tylko, że nie jestem z powołania
artystą? Ileż godzin szczęśliwych winienem temu zatrudnieniu! ile
wspomnień uwydatniły się dla mnie i przyniosły żywo na świstek
papieru, kilka nieforemnymi rysami! Wszędzie gdzieś pojechał,
przebył czas jakiś, podróżował, tęsknił po ludzku, lub chwilę był
szczęśliwym, rysowałem dla pamiątki, co mi pod oczy podpadło.
I przekonałem się najmocniej, że niekoniecznie to jest godnym
rysunku, co nadzwyczajną w naturze uderza pięknoscią. Bóg nie
poskąpił niczemu wdzięku, blasku i piękna, które od jednych
przedmiotów bije snopem promieni, od drugich promienieje bladą
strugą światełka.

„Przebiegłem w życiu wiele stron kraju naszego w pogoni za
pięknem naszym, za pomnikami, za wszystkim, co życie tak ma-
ło jeszcze artystycznie odbite, ze strony jego artystycznej wyka-
zać może. Ze stosów mniej więcej udatnych, często nieforemnych
rysunków i szkiców, zachciało się i mnie coś pokazać przed ludź-
mi, choćby na tę próbę ramionami ruszyć mieli. Mijam to, że nie

mam wprawy potrzebnej, ani talentu zapewne; ale spotkam może opozycją przeciw przedmiotom nawet, które to album składać mają. Niekoniecznie wybierałem te, na któreby się rzucił kto inny: przewodniczyła mi często fantazya, często serce, czasem ta wiara, że piękność przedmiotu nie zależy od jego majestatu i wielkości. Mostek na zapomnianej drodze, zajmował mnie jak pomnik historyczny, jeśli światło i cienie, linie jego i roślinność otaczająca, czyniły zeń obrazek". Sześć dołączonych rysunków, przedstawia stary dwór w Romanowie; śliczny pejzaż części ogrodu, oranżeryą, kaplicę, chatę pustą nad wodą w cieniu drzew i sernik piętrowy przy parkanie na tle ogrodu.

Każdy widok pokazuje, z jakim uczuciem artystycznym jest oddany, każdy mile zatrzymuje oko i wabi urokiem swoim. Odbicie czyste i staranne robi chlubę zakładowi litograficznemu, w którym wykonane zostało.

J. I. Kraszewski dodał tekst: krótkim, serdecznym, gorącym wspomnieniem zbywa Romanów, gniazdo rodzinne, któremu po dług nas należało więcej kart poświęcić: bo i on ma swe wspomnienia, z dawnych lat jeszcze, gdy zamożni nim właściciele władali; przechodzi następnie do miasta Biały, gdzie pierwsze sam szkoły odbywał. Kreśli dzieje tego grodu i wspaniałego zamku, rezydencyi przemożnej rodziny Radziwiłłów.

Patrzył już nasz autor na pierwszy początek ruiny tego gmachu, oprócz wieży z bramą wjazdową, która do dni naszych dotrwała: „Brama wjezdna (pisze), w której wiatowe stare armaty jeszcze leżały bez osady, sparaliżowane i umarłe, zapchane śmieciem i piaskiem. Z tej wieży dzwonił jeszcze ostatni, co przeżył wszystkich w zamku, stary zegar, ale dzwonił niedawnym pąnom swoim, nie weselu i dostatkom: dzwonił nad głową kajdaniarzy w wieży zamkniętych, dzwonił godziny nędzy, upodlenia, występku, rozpacz. Mój Boże! myślałem nieraz o tém, gdy godzinę uderzał zimno, równo, jednostajnie, tak jak za dawnych czasów bywało; myślałem jak się pod nim ten czas, który on mierzył tak równo, odmienił. Dawniej wesela, uczt, biesiady, albo pacierze pobożnej stariej księżnej; dziś godziny więźniów, godziny stworzeń głupich, spodzonych, występnych: a wszystko jednakowo.”

Pamiętamy wcześniejsze czasy od Kraszewskiego, kiedy zamek był jeszcze cały, jakkolwiek niezamieszany. Na ścianach wisiły obrazy Radziwiłłów, sale były zamknięte, ale można je było zwiedzać i stary odźwierny oprowadzał; pokazywano pokój,

w którym siedział zwykle ślepotą dotknięty sławny *Panie kochanku* i gdzie umarł. Pokazywano i duży kocioł, w którym wedle podania kąpał się któryś Radziwiłł w winie; „a tém winem (dodaje Kraszewski) potem szlachtę sejmikową poił. Pańskie brudy, tak jeszcze spodlonym smakowały”.

Kiedym mieszkał we dworze *Sławacinek*, w pobliżu zamku, pamiętam straszliwą burzę. Biły gęste pioruny, i jeden z nich uderzył w lewą stronę zamku, w pobliżu oficyn. Zerwał część dachu, wybił kawał muru, i od téj chwili zaczęła się pierwsza ruina: sam Bóg wskazał to siedlisko możnowładzców dumnych na zniszczenie.

W ogrodzie pełnym starych lip, była altana muszlami wysadzana.

Wysokie wały otaczają w około cały zamek, a przy nich głębokie fossy, które wypełniała rzeka *Krzna*. Na tych wałach rosły wtedy gęste krzewy i wyniosłe lipy; wiodąca pomiędzy nimi ścieżka, była ulubioną przechadzką pułkownika Koziętulskiego, sławnego zdobywcy wąwozów Sommo-Sierra w Hiszpanii, gdy stał ze swym pułkiem w Białej. W młodych moich latach często go spotykałem, idącego zwolna i zamyślonego. Kiedym odkrywał przed nim głowę, kłaniał mi się z uśmiechem melancholicznym i znowu zadumany, milczący postępował dalej.

Od chwili uderzenia piorunu, rok po roku coraz bardziej niszczał zamek w Białej; przez wybite okna zaczęto wynosić obrazy rodziny Radziwiłłów: otwartymi podwojami, wreszcie weszła ruina, kiedy poodrywano posadzki marmurowe i odrzwia czy ozdoby kominów. W lat kilka pusty dotąd zamek stał się rudera, którą przywrócić do dawnego stanu było już niepodobieństwem.

Wiele lat upłynęło zanim się sposobność zdarzyła, że jadąc do Romanowa, w r. 1850, mogłem go odwiedzić. Smutek i boleść opanował mnie spojrzawszy na stary zamek bialski. Widziałem go we wspaniałej ruinie, ale zachowywał jeszcze wielkości swój ślady i przechował całą strukturę: teraz wszystkie te ślady, więcej grabieżna ręka ludzka, niż czas poniszczył.

Brama wjazdowa z potężną basztą utrzymała się w całości, ale zawalona, a most przez fossę wiodący zniesiony; na obszer-nym dziedzińcu zamkowym pobudowali nowi właściciele dworki i zagarnęli części jego na ogródki; a sam gmach, rudera straszna: cegła z niego posłużyła do zbudowania tych skromnych domków.

Poszedłem zwiedzić skrzydło zamkowe, gdzie pierwszy piorun zaznaczył ruinę siedliska dumnych możnowładzców. Ścia-

na tylną więcęj rozwalona, i dach zrzucony odkrył wspaniałą salę piętrową ze sztukateriami włoskimi, w której podejmował gości swoich uroczyste książe Radziwiłł *Panie kochanku*. O nim przytacza Kraszewski kilka podań, ale nietylko do bialskiego zamku przywiązanych.

W Nieświeżu *Panie kochanku* utrzymywał, jak wiadomo wojsko i artylleryą. Jednej nocy budzi się ze snu, po jakimś przestraszającym zapewne widzeniu; zwołuje ludzi, krzyczy na dworskich: zbiegają się kto żyw.

— Wojsko na koń! do broni! artyllerya za miasto! konia, panie kochanku! konia mi podać co prędzej!

Ubiera się książe, wszyscy spieszą do koni, pan wojewoda także. Gdy siła zbrojna stanęła gotowa, wyciągają w porządku za miasto. Tu rozkazy wydane: ognia! Strzelają, strzelają noc całą. Po kilku godzinach, dowódzca siły zbrojnej zbliża się do księcia z zapytaniem:

— Czy Wasza Książęca Mość jeszcze strzelać rozkażesz: nie widać nieprzyjaciela, nikogo: ludzi tylko spokojnych straszmy, a oto dzień już świta.

— Co, już nie ma nikogo? spytał książe.

— A któż to był? — rzekł zcicha pułkownik.

— Chwała Bogu, panie kochanku, że uciekł — odpowiedział z westchnieniem wojewoda, alboż nie wiecie — że ten łotr *Celibuk* szatan o jednem oku atakował Nieśwież?

* * *

Wiadomo, że pan wojewoda, jak sam nieskończenie pozwalał sobie *polować* (wyraz techniczny) tak też lubił kłamców i gadułów, którzy mu baje pletli i jego wymysłom potakiwali. Jeden taki żartowniś, o gruby poszedł zakład z księciem, że mu tak skłamię, iż książe uwierzyć nie zechce. Książe trzymał zakład, że wszystko uzna prawdą, co ten powie. Rozpoczął dworak opowiadanie najdziwniejsze, jako po sznurze kręconym z sieczki, łatając się urywanym od dołu, lażł do nieba: jako tam widział wiele dziwnych a osobliwych rzeczy. Książe śmiał się i potakiwał. Nareszcie ku końcowi bajki dodał ów dworak:

— Co mnie najbardziej tam dziwiło, to, że spotkał prapradziada Waszój Książęcej Mości pasącego świnię.

— A co to, to już bajka — zakrzyczał książe — bajka, panie kochanku; żaden tego Radziwiłł nie robił: służyłem ja wprawdzie za kuchcika u pana Gałęckiego, ale to co innego i nie bez racyi.

— Wasza Książęca Mość przegrałeś zakład.

— No! no! panie kochanku, z wami to tak zawsze, jeszcze mi opaskudził mego prapradziada.

J. I. Kraszewski przywodzi podanie, jakie zasłyszal w Białym, ale to nie przywiązuje do *Panie kochanku*, ale innego Radziwiłła.

„Jeden z możnowładzców tutejszych więził za coś szlachcica w lochach, aż szlachcicowi długa broda porosła i posiwiła nędzą i niewolą, wybielała od łez, które na nią spadały, bo wspomniął zagrodę swoją i żonę i dzieci, a wyrwać się nie mógł, a umrzeć nie potrafił.

„Nareszcie przypomniał sobie pan i kazał go wypuścić, a do siebie przywołać. Kazano szlachcicowi brodę przez uszanowanie dla księcia ogolić: nie pozwolił na to; chciał ją mieć, jako pamiątkę cierpień i z nią stanął przed panem, stary z młodego, zgrzybiały i drżący przed czasem. Trzydzieści lat pańskiego życia nie tyle zużyły pana, ile trzydzieści lat więzienia zmęczyły szlachcica. Spojrzał na niego obrażony pan, któremu donieśli zauszniczy, że brody nie chciał ogolić; przystąpił, wziął brodę w rękę, potrząsnął nią i rzekł:

— Krótka jeszcze broda i krótka kara: nie będziesz się miał czém pochwalić.

I kazał go znowu wtrącić do podziemia”.

Podanie to, jak i tysiące innych ludowych, nie zachowały żadnych o dawnych panach polskich pamięci, jak tylko srogości, tyraństwa i pedłości. Przy gruzach wspinałych ich zamków i pałaców, przeszłość przemawia o nich krwawą zawsze tradycją, jakby usprawiedliwiała ruinę ich rodzinnych gniazd i siedzib. Lud też uważa w tém rękę Bożą, co skazała je na zniszczenie, bez nadziei zmartwychwstania; zatrata przyszła prędka a straszna, jako zwykła zapłata zbrodni przeciw społeczeństwu własnemu i ojczystej ziemi.

Autor wiele podań, które rzeczywiście należą do innych postaci możnowładzców, tu na karb Radziwiłłów wspomina: i nie dziwimy się wcale, bo ileż to podań z czasów rozkwitu rzeczywospolitéj babińskiej i jój dowcipów pełnych humoru, nie przywiązano do najpopularniejszej z panów polskich postaci księcia Radziwiłła *Panie kochanku*. Wartoby się zająć tą wydatną w dziejach ostatnich lat rzeczywospolitéj *figurą*: przedstawić ją w prawdziwym świetle historycznym i zarazem w podaniowém, zebrawszy

w jeden wieniec wszystkie dowcipy jego i anegdoty, które tradycja przypisuje *Panu kochankowi*.

Przy Radziwiłłowskim zamku w Białym był dawniej wspa-
niały zwierzyniec. Rzączyński (Hist. nat.) wspomina, że w nim
chowano sześćset sztuk zwierzyny, jak danieli, niedźwiedzi, wil-
ków i zająców w osobnych dla nich poczynionych zagrodach.
Łatwo było zgromadzić tyle grubego zwierza dziedzicowi zamku,
gdy w puszczy bialskiej, która ciągnęła się mil kilka w pobliżu
miasta, po nad rzeką *Krzną* bujały stada jeleni, sarn, dzików,
łośiów i wilków. Sam zapamiętam, że strzelcy ostatniego Radzi-
wiłła, księcia Dominika, za czasów już Księstwa Warszawskiego
tak marnowali i wytępiali w tej puszczy łosie, że skórę całą
sprzedawali żydom miejscowym po dwa złote polskie. Dziś i z tej
ogromnej puszczy zostały się tylko liche zagajenia: poszły kilko-
wieczne dęby i stare sosny podcięte ręką przemysłowcy, na mar-
notrawstwo i zbytek; topór wytępiając puszcę, wypłoszył z niej
dawno grubą zwierzynę.

W zeszycie tym autor rozpoczął kreślić dzieje miasta Białego;
zapewnie w następnych doczekamy się końca, lubo już z górą
rok cały czekamy na zeszyt drugi.

K. WŁ. W.

*Akta synodu prowincjonalnego lwowskiego w r. 1564
odbytego. Z Aktów konsystorza metropolitalnego lwowskie-
go wypisał i wydał ks. Seweryn Morawski kanclerz tegoż
konsystorza. Lwów. Nakładem W. Manieckiego 1860 r.
w 8ce str. 34.*

Synod, którego akta mamy tu poraz pierwszy wydane z rękopismu, pamiętne w dziejach kościoła polskiego zajmuje miej-
sce. Był on bowiem pierwszym synodem prowincjonalnym, któ-
ry przyjął i ogłosił uchwały powszechnego Soboru Trydenckiego
(1). Skoro papież Pius IVty, bullą swą dnia 26 stycznia 1564 r.
zatwierdził je, nuncyusz apostolski przy dworze Zygmunta Augu-
sta, Komendoni, dołożył usilnego starania, ażeby ogłoszone zosta-
ły w Polsce. Zaledwie otrzymał z Rzymu księgę tych ustaw, po-

(1) Z diecezalnych synodów jeden go tylko w tém uprzedził, po-
znański, pod biskupem Adamem Konarskim, w październiku 1564 odbyty.

śpiesza na sejm do Parczowa, i tam uzyskuje d. 7 sierpnia tegoż roku ich przyjęcie. Udaje się do Lwowa i 12 września t. r. na zgromadzeniu kapituły, w obecności arcybiskupa Pawła Tarły, usilnie zaleca przyjęcie i wykonanie uchwał trydenckich. Następnie przybywa na synod prowincjonalny całej Rusi, odbywający się we Lwowie d. 8 listopada 1564 r. O nim, tak się wyraża Komendoni w swém sprawozdaniu: „Odbył się наконец synod w téj prowincyi ruskiej, który dosyć mi się podobał, już to, że wybadały się umysły, już że są określone właściwe granice początek i porządek tego rodzaju synodów, co nam posłuży w następnym, mianowicie w tém, co się ściąga do zaradzenia wielu nadużyciom, jakie przejeżdżając tę prowincję, znalazłem. Pierwszego dnia rozkazałem odczytać drugą uchwałę z piątego posiedzenia trydenckiego, tym końcem, ażeby na wstępie rozbioru każdego przedmiotu, przyjęto najprzód wyroki trydenckie, oświadczono posłuszeństwo Ojcu Świętemu, wyklęto wszystkie odszczepieństwa, a osobiwie potępione przez ostatni sobór. Tu się natychmiast wykryły rozmaite sprzeczności. Wszyscy zgodnie domagali się najprzód udzielenia czasu do przeczytania i należytego zastanowienia się nad uchwałami i czynnościami trydenckimi, a przynajmniej, ażeby przyjęcie ich odłożyć do przyszłego synodu w Polsce. W ogólności, niechciano w żaden sposób zezwolić na ich przyjęcie. Tylem przecie zrzeczością, cierpliwością i dowodami uczynił, że oddawszy się w posłuszeństwo Jego Świątobliwości i wykląwszy heretyków, przyjęli jednozgodnie wyroki trydenckie i t. d”.

Na nierównie większe trudności trafił Rzym w ogłoszeniu kościelném ustaw trydenckich dla reszty Polski. Przyjęcie ich nastąpiło dopiero w 13 lat później na synodzie piotrkowskim, 19 maja 1577 roku.

Synod prowincjonalny lwowski, którego akta daje nam ks. S. Morawski, zasługuje na uwagę i z tego powodu, że mało takowych odbyto. O dwóch tylko synodach prowincjonalnych dokładnie wiemy: pierwszy w r. 1532 pod arcybiskupem Bernardem Wilczkiem, drugi zaś ten, o którym mówimy. Wprawdzie Zubrzycki w Kronice miasta Lwowa, pod r. 1593 wspomina o odbytym w tymże roku synodzie prowincjonalnym, ale akta tego synodu drukami ogłoszone, dowodzą jawnie, że to był synod dyecezalny.

Arcybiskupi lwowscy rzadko zwoływali prowincjonalne synody, dla tego, że arcybiskupi gnieźnieńscy na takowe zgroma-

dzali często całą hierarchią polską i sprawami kościelnymi całej Polski się zajmowali; na nie arcybiskupi lwowscy i suffragani wzywani byli i jak widać z pozostałych aktów tychże synodów bądź osobiście, bądź przez delegatów udział w nich brali, zastrzegając wszelako zawsze prerogatywy metropolitalne prowincji lwowskiej, jako niezawisłej i niepodlegającej arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu. Wydawca ks. Morawski, jak mówi w przedstępie, akta te wypisał z księgi akt konsystorza lwowskiego, obejmującą lata 1556—1618. Rękopism jakkolwiek charakterem dość wyraźnym, ale samemi prawie skróceniami i spieszo pisany, niełatwym był do odczytania i niewolnym od omyłek. Wydawca niektóre oczywiste sprostował, inne mniejszej wagi zostawił z obawy skażenia tekstu.

Od str. 13 rozpoczyna się sam tekst w języku łacińskim z nadpisem:

„*Constitutiones Synodi Provincialis celebratae Leopoli, octava Novembris, anno domini millesimo quingentesimo sexagesimo quarto*”; i kończy na str. 34 z objaśnieniami wydawcy, który przyspieszył ogłoszenie drukiem w pierwszej połowie 1860 r. w nadziei, że spodziewał się zebrania nowego synodu prowincji lwowskiej. Jakkolwiek nadzieja ta zawiedziona została, rzecz sama ważnym jest przyczynkiem do dziejów kościoła polskiego.

7.

W numerze 195 Tygodnika Ilustrowanego czytamy zajmujący opis Olsztyna. W nim znajdujemy, że z powodu dzielnej obrony tego zamku przez Karlińskiego, zgasły niedawno nasz poeta Władysław Syrokomla, napisał znany dramat, który jednakże nieodpowiedział swemu zadaniu.

Autor pomienionego opisu, sam prawdziwy poeta (Roman Zmorski) w jednym ustępie pisze:

„Syrokomla, który w swoich utworach, tyle narodowych rozwinął tematów, podniósł także pamięć tej obrony w poemacie p. n. Kacper Karliński. Zdaje mi się jednak, iż niezbyt szczęśliwie obrał na ten cel, szeroką formę dramatu, gdy przedmiot właściwiej do epicznego lub epiczno-lirycznego nadawał się odrobienia”.

Nie znał widać obrazu dramatycznego Alexandra Fredry autor, boby się przekonał, że dla prawdziwego talentu, każda forma równie dobrze posłużyć może.

Jest to jedna tylko scena, ośmioletkowym wierszem napisana, ale jakże po mistrzowsku oddana. Osoby wprowadzone są: Kacper Karliński, Helena jego żona, chorąży, żołnierze. Cały wypadek podniesiony poetycznie, głębokie wzbudza wzruszenie. Próbką, to mała drobna talentu Fredry, ale wymowne daje świadectwo, że mógł, równie być jednym z pierwszych pisarzy dramatów, jak jest pierwszym komedyo-pisarzem.

Obraz ten był drukowany wcałości w roku 1830 w piśmie zbiorowém p. n. *Haliczanin*, wydaném przez Walentego Chłędowskiego (Tom II, od str. 165 do 173). Przedstawiony na scenie, do głębi serc musiałby poruszyć widzów.

W.

